Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9013

Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III | Warszawa, 27 października 1947 r. | Nr 43 (100)

TREŚĆ NUMERU: Z poezji Roberta Stillera, A. Błachnio — Warmia rozbudowuje się, W. Bąk — Sprzęty, S. Tyrmand, Manne... Tekel... Fares..., N. Rostworowski— O czym się nie mówi, St. Suszeński— „Wielka tajemnica", L. Bloy — Brama pokornych, Tydzień kulturalny, T. Wysocka— Balet angielski, T. Sław — Piękna Wenus i cnotliwe oleodruki, Z wędrówek po scenach polskich, Życie gospodarcze, S. Kisielewski — Zbrodnia w Dzielnicy Północnej, Szeroki horyzont — Admirał Doorman, Czytelnik uważa że...

Jan Dobraczyński

Krzyk na puszczy obojętności

(30-lecie śmierci Leona Bloy)

Tak, nie było możliwości, abym go mógł był spotkać!

Kiedy umierał — wieczny nędzarz — w żałobnym domu Karola Peguy w Bourg-la-Reine 3 listopada 1917 r. byłem chłopcem, który by w żaden sposób nie zdołał pojąć znaczenia końca tej pielgrzymki Absolutu. Nie, na pewno nie byłem jeszcze wówczas tym namiętnym i niecierpliwym poszukiwaczem przygody, jakim mnie uczyniło życie w wiele lat później, gdy nagle — właśnie wtedy, kiedy mi to było potrzebne — ani rok za wcześnie, ani rok za późno — dostały mi się w ręce pamiętniki Bloy.

W wiele, wiele lat po dacie jego śmierci odnalazłem autora „Desesperé". To nie znaczy, aby już wcześniej nie istniał na horyzoncie kręgu mych myśli. Ale tajemnicza pedagogika Łaski nie każe rodzić się z niczego. Te słowa już są, już zostały wypowiedziane, już wiszą w przestrzeni— i tylko my jesteśmy na nie głusi, tylko dla nas są one niedosłyszalnym szeptem, tylko my wciąż szukamy tego czegoś, co ma kiedyś — nie dziś, ale właśnie kiedyś! — stać się dla nas **odpowiedzią.**

Tak było i z Bloy Kiedym przed laty w samotności lubelskiego odludzia zmagał się ze swoim Aniołem, kiedy wiedziałem już, że nie mogę nie wierzyć i że muszę pisać — nie Bloy przyszedł mi w pomoc, ale Papini. Odkryta u ulicznego „bukinisty" oszałamiająca „Storia di Christo" stała się dla mnie manifestem życia. Programem. W tamtym wieku żyje się wzorami. Papini stał mi się wzorem. Katolicki Brandt: wszystko albo nic! Postawiłem wtedy stawkę całego życia na katolicyzm. Powiedziałem sobie: jeśli mam pisać — jeśli muszę pisać — to tylko tak będę pisał! Nie inaczej. Pisanie jest mi dane, nie mogę być darowi niewierny. To jest moja służba. To jest rozkaz.

Lata już leżą między tamtym dniem — a dniem dzisiejszym. Przez ten czas wżerałem się chciwie w to, co się potocznie nazywa literaturą katolicką. Odkrywałem, ciekawie, jej tajemnice. Przez Bernanosa i Claudela dotarłem do Pegny a i ks. Terdif de Moidrey (tego genialnego odkrywcy symboli Starego Testamentu, zakrzyczanego przez rozmaitych dłubaczy), wreszcie znalazłem wspaniałego Bretona, Ernesta Hélo, szczyt filozofii 19 wieku — i dlatego niewątpliwie zagubionego dziś i zapomnianego. Szkice Hélo czytałem, jak urzeczony. Ten człowiek pokazywał mi świat takim, jakim jest naprawdę, oddzierając piękno od zła, kłamstwo zaś, śmieszność i pogardę od prawdy. Urodzony w świecie, który wciąż czcił „wolność" a la Rousseau, „dowcip" a la Voltaire, „nadczłowieczeństwo" nach Nietzsche — zrozumiałem, dzięki Hélo, że wolność jest tylko tam, gdzie są święci, radość tylko tam, gdzie się śmieje święty, a jedynym nadczłowieczeństwem w świecie rzeczywistości jest świętość.

Ale pojąłem także, że Hélo — ten dumny, nieugięty filozof, zagubiony na swej bretońskiej pustyni, nie może być przewodnikiem na drodze życia. Myślą Hélo można żyć, ale żyć tylko myślą nie sposób. Prawda musi zejść do codziennych spraw. Prawda musi pokazać się nie tylko w kryształowym zwierciadle myśli czystej, ale także w mętnym często nurcie życia. Kiedy to zrozumiałem, pojąłem, że jakiś cień wymyka się mojej uwadze, lecz choć napinałem wzrok, nie spotkałem wtedy zgarbionej sylwetki człowieka o groźnych, białych wąsach, napoleońskiego wiarusa, ubranego w aksamitny „mundur" ubogiego drwala. Ciągle jeszcze Bloy żył poza horyzontem mojego poznania.

Dziś wiem dlaczego tak **musiało być.** Bloy nie byłby wcześniej przemówił do mnie. Jego książek nie można czytać, jeśli się nie było nigdy głodnym, nigdy pozbawionym domu, nigdy zziębniętym, nigdy śmiertelnie znużonym, nigdy drżącym o życie najbliższych, nigdy wyśmianym, wyszydzonym, pogardzonym, a wreszcie nigdy — odepchniętym przez swoich. Trzeba spróbować wszystkich goryczy świata, by zawrzeć znajomość z „niewdzięcznym żebrakiem", umierającym „Na progu Apokalipsy". Dopiero kiedy się dojdzie do tej dalszej tajemnicy katolicyzmu, której się nie spotyka na początku drogi, ale gdzieś, dopiero za pierwszym zakrętem do tajemnicy, która brzmi: że aby móc tkwić we **wszystkim,** aby dorosnąć **do kochania wszystkiego,** aby świadomie być w świecie Jedności, w której każdy cierpi za każdego, i każdy żyje bogactwami zbieranymi przez wszystkich, trzeba być **jednocześnie** zupełnie samotnym, aż do krwawego potu, samotnym i pogardzanym, zwalczanym przez wrogów i zwalczanym przez swoich — otóż dopiero gdy się dojdzie do tej tajemnicy, spotyka się na drodze, niby Wergiliusza w wędrówce przez piekło i czyściec — przewodnika w osobie Leona Bloy.

Tak. Leon Bloy potrafi być przewodnikiem na najcięższych drogach. Ma rację Fumet, gdy pisze: „dziś wydaje się zrozumiałe, że Chrystianizm jest antykonformistyczny i tradycyjny; że głosi chwałę biednego i potępienie dla bogacza, tak, jak to jest powiedziane w Ewangelii; że nie pomija milczeniem sprawy cierpienia istot i ma odwagę o nią pytać Boga, niezmiennego w Sobie lecz, który stał się Człowiekiem, by umrzeć śmiercią; że żąda wszystkiego od dusz i od ciał, ale obiecuje daleko więcej, niż żąda tymże duszom i ciałom, że podejmuje się obrony materii przeciwko wyniosłym teoretykom, że nie pozwala sobie na wygodną rezygnację w dziedzinie, w której jest atakowany; że przeciwstawia swój nieugięty Absolut wielkim relatywizmom, które samo piekło ozdobiło swoim czarem; że nie niszczy człowieka i artysty — człowieka tworzącego — unicestwiając go wobec Boga, że pozwala na natychmiastowe wprowadzenie do raju za cenę pewnych wyrzeczeń i zawiązuje codzienny węzeł sakramentalny pomiędzy Boskością, a biednym, świeckim grzesznikiem, że uczy naszych dzisiejszych katolickich Efezów o Duchu Świętym, którego oni nie znają — lecz ja twierdzę, że to wszystko bez Leona Bloya nie byłoby dziś rzeczą tak zupełnie oczywistą..."

Ma rację Fumet i miał rację sam Bloy, gdy powtarzał, że pisze nie dla sprawiedliwych, udoskonalających się ,czy rozpoczynających, ale „dla śpiących, którym potrzeba, aby cierpiał i krzyczał". Gdyby katolicyzm współczesny nie spał, niepotrzebni byliby ludzie jak Bloy, jak niepotrzebni by byli prorocy, narodowi wybranemu, gdyby potrafił być wierny zawartemu przymierzu. Za mocno śpimy i dlatego budzi nas dopiero przeraźliwy krzyk człowieka obdzieranego żywcem ze skóry! Za mocno śpimy, że aż trzeba, by do głosu dochodziły „chimery" z wieży Notre Dame! My — pokolenie głuchych i ślepych, które nie widzi łez z La Salette, ani gromów z Fatimy!

Skoro się bierze po raz pierwszy do ręki książkę Bloy, uczuciem, jakie ona w nas przede wszystkim budzi, jest oburzenie. Nie pojmujemy sensu tego krzyku, tego miotania się, tych piorunów, tej wściekłej żywiołowości, tych rozżarzonych do białości uczuć. Cenimy opanowanie, spokój, tolerancję. A Bloy nie jest opanowany, nie jest spokojny, nie jest tolerancyjny. Ciężkie słowa przelatują ze świstem nad głową czytelnika. Zapytujemy się sami siebie ze zdumieniem, czy naprawdę można uważać za katolika człowieka, dyszącego taką nienawiścią. Ale zwróćmy w

Wytyczne

SETNY NUMER

Numer dzisiejszy jest numerem setnym. Nie zaznaczamy tego w żaden sposób specjalny, odkładając jubileusz do numeru 104, zamykającego dwulecie naszej pracy. Tym niemniej numer setny obowiązuje. Nie możemy tego faktu pominąć całkowitym milczeniem.

W ciągu tych stu numerów praca nasza zmierzała w pewnym, dość jasno przez nas wytyczonym kierunku. Nie postawiliśmy sobie za zadanie przekonywania Czytelników pisma o Prawdzie katolicyzmu. Ta Prawda wydaje się nam, zwłaszcza po doświadczeniach „lat nieludzkich", czymś oślepiająco oczywistym. Nie dowodziliśmy rzeczy zdaniem naszym powszechnie znanych, że katolicyzm nie jest tylko religią ale i światopoglądem, że obcy mu jest zarówno materializm jak i idealizm, ponieważ jest realizmem, że wreszcie ani tylko drogą poznania, ani tylko drogą uczuciowego zbliżenia, ani jedną i drugą bez ostatecznie decydującej o wszystkim **Łaski** do katolicyzmu dojść nie sposób.

Zadania jakie postawiliśmy przed sobą były inne. Zwróciliśmy się do k a t o l i k ó w. Staraliśmy się im wykazać, że katolicyzm nie wystarczy uznać. Trzeba nim żyć. Trzeba wydobyć każdą ostateczną konsekwencję z tego, że jesteśmy katolikami. Trzeba katolicyzm zaktywizować. Od Kościoła, od jego Źródła Łask możemy oczekiwać zawsze skutecznej pomocy. Ale Kościół n a s z e g o zadania — nas, ludzi świeckich — **zadania życia po katolicku** za nas nie wykona. To musimy wykonać sami — i to musimy wykonać, jeśli nie chcemy by katolicyzm zamknął się w kościołach i w zakrystiach.

Naturalnie, aby móc o tym mówić, trzeba było nam samym aktywizację katolicyzmu w sobie przeżywać. Czy potrafiliśmy to zrobić? Lękamy się, że nie. Łatwiej jest mówić niż czynić. Pocieszamy się, że o zwycięstwie w wojnie nie decyduje nawet sto bitew. **Decyduje o nim tylko rozstrzygająca i ostatnia.**

BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO
Dm 29/05

wagę, że nienawiść Bloy nie kieruje się nigdy przeciwko człowiekowi. Nie nienawidzi „burżujów", on nienawidzi „burżuja" — tę „świnię, która chciałaby umrzeć własną śmiercią", tego człowieka, który, żyjąc w dostatnim, burżujskim domu „rezerwuje psią budę dla Pana Naszego Jezusa Chrystusa". „Oh! — wybucha — gdybyż ci nasi bogacze współcześni byli tylko prawdziwymi poganami i bałwochwalcami zdecydowanymi — nic by nie było do mówienia! Wiadomo, że tacy uważają za swoje zadanie niszczyć słabych, ci zaś marzą tylko o okazji, by zniszczyć bogaczy. Ale oni z tym wszystkim chcą być katolikami i to takimi właśnie katolikami! Są gotowi kryć swoje bożyszcza nawet w Przenajświętszych Ranach!"

Bloy nienawidzi „burżuja" — ale kocha człowieka. Łkając i bijąc się w piersi modli się żarliwie o nawrócenie „nawróconych". Jeśli spoza oburzenia jakimś przerażającym zwrotem, spostrzegamy nagle, że to oburzenie zwraca się przeciwko nam, to niewątpliwie przemawiać zaczyna do nas modlitwa autora „Biednej Kobiety". Tak wiele mówiliśmy sobie o miłości do człowieka, że aż zaczęliśmy lubić zło... A Bloy zła nienawidzi każdym fibrem swej namiętnej duszy. Więc gdy nas wstrząsa i oburza swoim krzykiem, poczynamy czuć, że i nam braknie powietrza, że my musimy krzyczeć, że i nas dławi oburzenie. Budzimy się od jednego razu! Nie ma czasu na przecieranie oczu. Bez przecierania widzimy, gdzie zawędrowaliśmy z całym naszym katolicyzmem.

Czymże byłby świat gdybyśmy my byli inni? Naiwne opowiadanie, że za winy ojców, ojcowie są odpowiedzialni! W bezczasowym wszechświecie, którego nasz świat związany z naszym czasem jest tylko dydaktyczną i pozorną projekcją, syn jest odpowiedzialny za ojca w takiej samej mierze, w jakiej ojciec za syna. Nie istnieje to, co będzie. Nasza klęska może zawisła od nieludzkości 19-go wieku, a może od ohydy 21-ego. Nasze ocalenie może leżeć w modlitwie współczesnych św. Franciszkowi, a może ci, co nas ocalą jeszcze się nie urodzili i urodzą się dopiero po wiekach. Wiemy tak mało, prawie nic. Sami dla siebie jesteśmy istotą nieznaną. Sens świata wymyka się całkowicie naszemu spojrzeniu.

Wymyka i wymykać będzie, tylko bowiem w jednym, jedynym aspekcie można coś zobaczyć poza złudą powierzchni. Istnieje tylko jeden jedyny i prawdziwy smutek świata, w którym się zamykają wszystkie inne. Bloy określa to słowami: „Jest tylko ten jeden smutek, że się nie jest świętym..." Bądźmy szczerzy: czy to nie jest rzeczywiście wszystko? Czy świat świętych byłby światem stojącym w obliczu kataklizmu, w obliczu którego stoi nasz świat? Żałośni prorocy nędzy wciąż obliczają ostatnie dni naszej planety i umierają, a ich przepowiednie nie spełniają się. Nie grozi nam widmo kalkulatora Malthusa. Grozi nam natomiast coś innego, coś znacznie gorszego: to, że z całym naszym rosnącym bogactwem, z całą naszą potężniejącą techniką możemy doświadczyć katastrofy

Bloy już w 1900 r. pisał o „eplepsji ziemi", już widział czas, w którym „ludzie wyciągać będą ręce ku śmierci". Jego zdaniem rozpoczął się już prolog dramatu, „jakiego nie widziano od 20 wieków".

Jest to ostatnia godzina robotników w winnicy. Lecz wiemy, że ci ostatni, donajęci tylko na godzinę robotnicy, potrafią pracować intensywniej, niż inni Więcej jest dane temu kto więcej kocha. Miara kochania jest miarą Łaski, a miara Łaski jest miarą świata. Gdy egzystencjonalizm woła: świat idzie z katastrofy w katastrofę i tylko o jedno chodzi, aby się umieć w tym rozpaczliwym świecie możliwie wygodnie urządzić, Bloy odpowiada mu: jeśli świat idzie z katastrofy w katastrofę, to sensem życia jest przyjęcie zesłanego cierpienia, ponieważ „oczekujący na wyrok sędziów w dolinie Józefata nieszczęśliwy człowiek upadku może liczyć tylko na dobrodziejstwo cierpienia „tego cierpienia, które jest rozwikłaniem wszystkich spraw życia, trampoliną ku wszelakim wzniosłościom, przetakiem zasług i nieomylnym kryterium wszelkich moralnych piękności".

Do tego wszystkiego trzeba było dojść. Trzeba było dorosnąć. Ludzi, jak Bloy nie spotyka się przypadkiem. I nie przypadkiem „odkrywa się" Bloy jednocześnie w Paryżu, Neuchatel, Starej Rise, Warszawie...

Bloy nie tylko należy do nas, ponieważ był prorokiem naszych czasów, czasów ostatnich. Jest on także symbolem godziny, w której, powiada Ewangelia: „Każdy kto was zabija, mniemać będzie, że czyni przysługę Bogu..." Bloy zabijali, kamienowali całe życie nie tylko przeciwnicy, ale także i to przede wszystkim — swoi. Wśród katolików panowała wobec Bloy „zmowa milczenia". Niektóre jego książki np. wstrząsająca „Celle qui pleure" była na pewnych obszarach przez miejscowe władze kościelne zakazana. Kler francuski nie pragnął odkrycia tajemnicy płaczu Matki Bożej z La Salette. Szanowany w salonach paryskich, Akademik, ksiądz Henryk Brémond nazwał człowieka — o którym własna jego żona mówiła, że jest „katedrą, w której jest stale wystawiony Przenajświętszy Sakrament" — „trochę faryzeuszem"... Inny jakiś ksiądz belgijski powiedział, że Bloy to „plugawy szaleniec". Oni wszyscy woleli stać cicho, pozwalając im, by kradziono duszę za duszą narodu francuskiego, byleby tylko nie musieli razem z Bloy krzyczeć! Jeśli dziś Francja jest tym, czym jest, jeśli, jak powiada Bernanos, „zaledwie w 150 lat po ogłoszeniu Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela Hitler mógł panować nad Europą i nad milionami ludzi" — to dlatego, że przez te 150 lat — a i przedtem — na ustach ludzi podobnych Bloy leżała ciężka dłoń, tłumiąca słowa. My, katolicy, my, a nie kto inny, jesteśmy temu winni, że świat nie jest znowu ziemskim Edenem! To kpiny, że oskarżamy o spowodowanie grożącej światu katastrofy niewierzących, a nawet niewiedzących, gdzie jest Prawda! My, my, my, którzy mamy w każdym kościele, w każdej kaplicy ŹRÓDŁO SIŁY, jakiej nikt inny nie ma, my którzy **możemy**, oskarżamy tych, którzy nie mogą! My, którzy **wiemy** oskarżamy tych, którzy nic nie wiedzą! My, którzy **otrzymaliśmy**, oskarżamy tych, którzy nie dostali!

Nie łudźmy się! Nie niewiara „niewierzących", ale niewiara „wierzących" kazała płynąć łzom Najświętszej Panny na Górze La Salette. Chrystus modlił się za tych „którzy nie wiedzą co czynią", ale Chrystus odmówił modlitwy za świat, za ten świat, który zabijać będzie Apostołów, sądząc, że przysługę tym czyni Bogu. Głos Bloy, odzywający się zza grobu, nie jest głosem skierowanym do tych, co nawet nie pojmują czym jest modlitwa. Ten głos budzi: otwórzcie oczy! Otwórzcie oczy! Usnęliśmy bowiem na łonie chrześcijaństwa, a ono wyparowało podczas naszego snu.

Miałem uczucie, że pewnego dnia Bloy pojawił się przy mnie i krzyknął: „otwórz oczy! A potem powiedział, krzywiąc się boleśnie: „Jeżeli Sztuka jest w moim bagażu, tym gorzej dla mnie. Pozostaje mi tylko ofiarować w służbę Prawdzie, to, co mi zostało dane przez kłamstwo. Bogactwo zawodne i niebezpieczne, ponieważ właściwością sztuki jest tworzenie bogów..."

Tego dnia wydało mi się, że powinienem się modlić za autora „Deseperé"...

Jan Dobraczyński

Z poezji Roberta Stillera

Ballada z Wilczej

„Gdzieś przyszedł? po coś przyszedł? Taka późna pora..."
Zza szyby świeci zielona twarz upiora.

„Tak, była tutaj, ale to dawno temu.
Nie masz co szukać. A czemu się pytasz, a czemu?

„Budujemy górę mroku i strachu, my umarli.
Chodź zatańczymy na gruzach Tyś przecie też umarły'

Sypnął błyskiem zielonych bialek zakołysał twarzą:
„Zaczekaj, niechże ci to i owo pokażę",

Zastukał, śpiesznie zastukał palcami w szybę:
„Zaczekaj, schodzę, zaraz do ciebie wyjdę"

Lecz ja, ponieważ jutrem żyć o wiele łatwiej,
Skręciłem w Marszałkowską, która płynęła światłem.

Preludium Lunatyczne

Idę lekko na palcach między czarne dwie sosny,
Idę krokiem tanecznym Ktoś litaury potrząsa.
Wokół mnie białe kwiaty biją taniec radosny,
Wokół mnie ogród szepcze i migocze i pląsa.

Noc. A księżyc złocisty balansuje na pasie
Między dwiema sosnami, w prześwietlonej mgły pasie:
Niebo pełne księżyca zapomniało o czasie:
Idę krokiem tanecznym, zapominam o czasie!

Idę w księżyc wrzeźbiony między czarne dwie sosny
(Czy to brzęczy me serce czy grzmiał księżyc z kryształu?)
Idę w czeluść księżyca, krok mój płynie radosny,
Złotą otchłań mam w oczach Chciałbym stąpać pomału.

Księżyc błyszczy w mgle złotej, jak monstrancja, jak wiatyk,
Księżyc kusi się ustom hypnotycznie, jak wiatyk.
W złoty śmiech księżycowy płynie jakiś lunatyk,
To ja. Ślepy od złota, uskrzydlony lunatyk.

Idę tańcem oddechem między czarne dwie sosny.
Śpiew mię wchłonął jak wicher w ptasich skrzydeł oklasku,
Księżyc drga między pniami niby motyl radosny.
Coś ucieka spod nogi. Już. Rozlewam się w blasku.

Rzecz o niczym

A wiesz, na koniec, na koniec —
Chciałbym odjechać w bydlęcym wagonie
Gdzieś daleko, daleko stąd,
Na nieznany, dziś wybuchły rudą barwą front.

W monotonnym stukotaniu kół
Tak już całkiem, tak do reszty stępić ból
I w ciemnym kącie jak w tęsknocie
Przeturkotać senne usta i oczy —

Najprzyjemniej bywa zapominać.
Kiedy smutek w tył toczy się po szynach —
Monotonne podzwonne szyn —
Twoje oczy gasną, cichną, nikną, jak dym.

Nad ramieniem, nad hełmem obcego żołnierza
Patrzącemu z mroku jasny pejzaż:
W rudo-wiśniowej barwie ostatnie słońce tonie,
Rudo-wiśniowe są bliskie deski wagonu.

Jest smutne piękno i zawsze było.
Jest miłość i walka! Walka i miłość.
Zmiażdżone serce od ust do karabinu ucieka.
(Nic, nic. Oprzyjcie się, kolego).

Gwiazdy w drzwiach długo jeszcze wieją —
Głowa przestała chrapać na ramieniu —
(Śpicie? Czy ona, powiedzcie, czy wam też —
Boli, nie strzyma pierś —
Stukot — żołnierzu, bracie, zaśpiewajmy, wiesz —)
Rozszumiały się wierzby płaczące,
Kołysały się wierzby płaczące —

Mściwy list

Pochmurnooki, dobry Boże
Co patrzysz przez te czarne liście
Podobne liściom sag północnych
Na wszystko bliskie i dalekie
nie wiem — jaką rzecz jak cenisz.

Potrząśnij drzewo granitowe!
Niech zakołysze się listowie.
Nikomu niepotrzebnych strapień.
Ja proszę cię o liście klęski;
Daj szczęście wszystkim moim
wrogom.

Ślij też od siebie fioletowy
Błysk światła zgasłej już wichurze,
Co mi w noc ową biła w oczy,
Aż zachodziły krwią i łzami.
Powiedz jej przezeń, że ją kocham:
Niech się jej przyśnią sine noce.

Powiedz wężowi różowemu,
Że gdy mi swoje szybkie żądło
Zapuszczał w nogę, zobaczyłem
W kroplistym dżdżu pałace z błysku.
Więc pokochałem tamtą chwilę,
I ból i węża różowego

Szalony Boże, wściekły Boże
Zazdrości godnych pędziwiatrów!
Daj szczęście wszystkim złym
i podłym.
Niech mają radość raz je ujrzeć:
Zielone skały nefrytowe!

Stały na mrocznych firmamentach
Scenerii nocnej i ponurej,
Gdy opływała ciężka zieleń
W blasku obcego satelity.
Zielone skały neftrytowe!

Słonecznooki, uciesz podłych!
I tego zbaw z którego ręki
Niewinny runę w przyszłej walce.
Lecz spraw, by do skończenia świata
Z otchłani piekła nie wyjrzeli
Ci, co mi skradli jeden uśmiech
Z warg już gotowych do wygięcia.

Uczta Sokratesa

Gdy z Sokratesem druhowie pili
Na dłoniach ważąc subtelność tez —
Świat się rozciągał od peristyli,
Pod progiem leżał niby pies.

Coś opadało w tę noc srebrzyście,
Oddech ludzi, oddechy róż!
Za oknem — czarne akantu liście
I fioletowe resztki zórz. —

Lecz usłyszeli ten głos druhowie:
Jak rósł akordem podniebnych drżeń'
Z hukiem motorów padł na węzgłowie
Idąc-ej nocy ciemny cień.

Aleksander Błachnio

WARMIA ROBUDOWUJE SIĘ

(Autentyczny reportaż małorolnego z pod Garwolina, który już drugi rok spędza na Warmii)

Teren Warmii jest już z grubsza zasiedlony. Kilkukilometrowe pustkowia należą już przeważnie do niezbyt zresztą miłych wspomnień, oczywiście dla osadników z prawdziwego zdarzenia. Bo tylko z takich składają się już dzisiaj mieszkańcy ojczyzny Hozjusza.

I fakt, że dzisiaj już prawie nie odczuwa się niemieckiej przeszłości tych ziem takim tylko osadnikom trzeba zawdzięczać. Osiedlali się oni zwolna, z namysłem, stopniowo. Najpierw jednostki, później ich znajomi, przyjaciele, kuzyni. I dzisiaj nierzadko można spotkać całe wioski złożone wyłącznie ze swojaków.

Nie można jednak powiedzieć, że atmosfera tutejsza jest ta sama, co w Centralnej Polsce. Instynktem może co prawda tylko, czy po naprawdę dłuższym obcowaniu z ludnością wyczuć można tą inność. Nawet świeższego osadnika odróżnić można od dawniejszego, już choćby po jego postępowaniu. Nie przywykł jeszcze do zupełnie odmiennych warunków, w jakich się znalazł. Potrafi jeszcze gwoli zabawy dawniejszych kłócić się o miedzę; o krowę wpuszczoną na jego pastwisko, o przechodzenie obcych po polu. Nie wyczuł jeszcze tej odmienności warunków. Nie wie, że gospodarstwo tutaj inaczej zupełnie musi wyglądać aniżeli jego dawniejsze gdzieś w Mińskim, Siedleckim, czy Łukowskim. Że wymaga ono już nie tylko pracy innej, ale innego w ogóle nastawienia. Brak mu tego rozmachu, szerszego oddechu, zrozumienia konieczności patrzenia na znacznie szerszy widnokrąg, aniżeli koniec jego nosa, czy granicę wioski, a w najlepszym wypadku — gminy.

Takimi, zresztą, minimalistami byli jeszcze w roku ubiegłym prawie wszyscy warmijscy osadnicy. Byli nimi tymbardziej po zeszłorocznych żniwach; tak obfitych w... myszy, że naprawdę większość opuściła ręce i straciła w ogóle chęć do pracy. Znaczna, znaczna większość głowiła się zupełnie na serio, czy warto jeszcze próbować szczęścia i siać coś.

Bo naprawdę, to był straszny rok. Ze zbóż nie zebrał nikt nic. Kilkumiesięczna praca poszła na marne. Znikła jak kamfora wprost w oczach. Kochane myszki wprost z gardła wydzierały ludziom ich chleb powszedni i na to nie było żadnego ratunku. Żadnych możliwości uratowania chociaż resztek jakichś. Ocalało tylko coś niecoś kartofli i warzyw.

I to był cud, że osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych nie dostało wówczas całkowicie w łeb. Tylko naprawdę twarda, niezłomna natura polskiego chłopa uratowała wówczas dobre imię Polski, jej całą przyszłość, możliwości jej wreszcie na forum międzynarodowym. Od Boga i tylko od Boga zależał wówczas ratunek i możliwości zagospodarowania tych ziem. Gdyby nie zeszłoroczne deszcze, nie ciężka, bezśnieżna zima — myszy byłyby w dalszym ciągu gospodarzami ich i prawdopodobnie byłyby nimi przez ładnych kilka następnych lat. A doktór Schumacher byłby triumfatorem i wzorem swego poprzednika z emfazą obwieściłby światu:

— Opatrzność Boża czuwa nad Niemcami. Prusom Wschodnim tylko Niemcy mogą zapewnić dobrobyt.

Tak się jednak dzięki Bogu nie stało. Plany Opatrzności były widocznie inne i Warmia pozostała w rękach Polaków. A był czas, iż zdawało się, że już, już. Już powszechnie, prawie mówiło się o konieczności odwrotu. O jego przyśpieszeniu — aby chociaż coś kolwiek uratować. Aby nie wrócić całkiem dziadami. Dokąd się nie zje wszystkich świń i krów. Dokąd by jeszcze było przynajmniej o czym wrócić.

A jednak natura polskiego chłopa jest twarda, twardsza jak stal. Bo i stal się złamie, a warmijski osadnik nie dał się. Żył różnie. Czym się dało i jak się dało. Złudzeniem, nadzieją i marzeniem. Jabłkami, jagodami i grzybami.

Część zboża przeznaczonego na jesienną akcję siewną 1946 roku osadnicy zjedli przez zimę. I to w końcu okazało się lepszem, aniżeli byliby wrzucili to w ziemię. Bo zeszłoroczny siew ozimin okazał się ostatecznie prostym wrzuceniem ziarna w błoto. Błoto nie dałoby nic, czy prawie nic — a to ziarno, wraz z grzybami, nadzieją i pożyczkami zaciąganymi na jakie tylko się da — cele, uratowało możliwość względnego przetrwania do wiosny. A na wiosnę sytuacja się zmieniła. Myszy przepadły, osadnicy z większą już nadzieją zaczęli patrzyć w przyszłość; orać, siać, pielić, okopywać i w ogóle stopniowo zapominali o konieczności wyjazdu do Centrali, a z pewnym już planem przystępowali do zagospodarowania się na przyszłość. Na wiosnę już nie trzeba było nakazów i przypomnień rządowych, aby orać i siać jak najwięcej. Zgodnie ze swoją możliwością pracował i względnie planowo przeprowadzał wiosenną akcję siewną.

Wiosną okazało się, że kryzys został już częściowo opanowany, najgorsze minęło i aby do — żniw. Czerwiec i lipiec przynajmniej szczawiem się przeżyje, a po żniwach — może będzie inaczej. Może nareszcie...

— Może czasami będziemy jeszcze gospodarzami.

Warmiacy zaczęli stopniowo marzyć o rozwoju gospodarstwa, o jego rozwinięciu. „Gospodarze" bez inwentarza, a takich spotyka się tu bardzo dużo — zaczęli marzyć o kupnie najbardziej koniecznego konia i prawie równie koniecznej krowy. I różnie, różnie— jak owa babka, co z posiadania jajka chciała dojść do krowy — tak nasi warmijscy osadnicy kombinowali różne metody uskutecznienia planów.

Są jednak szczęśliwcy na świecie, którym czasami na kamieniu się rodzi. Do takich szczęśliwców należą tutaj kawalerzy — którym wraz z wiosną przybyło zdrowia i energii na tyle, iż gotowi byliby z całym światem wziąść się za bary i spróbować do posłuszeństwa go zmusić.

Życie widocznie takich lubi, bo sprzyja im, w ręce ich wkłada szczęście, o jakim tylko chwilami śmieli marzyć.

Bo jakżeż. — Ona gospodarska córka z dziada i pradziada, jedna ze spadkobierczyń dwudziestu morgowego gospodarstwa — chciałaby pójść jak normalniej za niego i — „na zachód", w nieznane i niepewne, gdzie idą ci, co nie mają nic do stracenia. Że On ma duże gospodarstwo?! Za łatwo go dostał — by to naprawdę było jego?! Czyż warto tak ryzykować całą przyszłość?

A jednak cuda się dzieją i co jakaś tam Geńka, czy Kazia wniesie w posagu młodemu „pionierowi", który przybył „na zachód" bez inwentarza. Krowę i cielę i prosięta, a czasami i to co jest najbardziej pożądane — konia; i jeszcze coś na dodatek i jedzie na Warmię, przeklinając na funty węzłowe stacje, że tak długo przetrzymują wagony.

Tak stopniowo, ku pożytkowi Bogu i szczęściu ojczyzny psycho za żeniaczki „na zachód" staje się coraz powszechniejsza i coraz więcej poniemieckich kościołów widzi „polskie" śluby i coraz więcej poniemieckich domów ogląda „polskie" kołyski. Najbardziej nieomylny znak stabilizacji stosunków i jeszcze nieomylniejszy — przywiązania młodych osadników do nowych siedzib. Wytwarza się pojęcie „ojcowizny", jak na naprawdę odwiecznych polskich ziemiach.

Szkoda tylko, że psychozie tej w minimalnym tylko stopniu ulegają księża, lekarze i akuszerki. Dokąd te zawody nie poddadzą się „zachodniej" psychozie i nie zawitają pod warmijskie strzechy — osadnicy tutejsi wciąż czuć się będą jak na pustyni, bo do najbliższej obsadzonej przez księdza parafii często jest wciąż jeszcze i po 30 km. O akuszerkach nie ma co i marzyć — bo są „podobno" gdzieś tam w Elbiągu, Braniewie, Ornecie, czy Olsztynie. Więc przywieść je można naprawdę — „na czas". „Babek" też nie ma, bo one nie chcą — „wywozić starych kości na obce cmentarze, pomiędzy Niemców, a młode Geńki, czy Kazie, boją się znów „odważyć" — więc akuszerem najczęściej musi być on, mąż — bo jakżeż — „sama chyba nie da sobie rady". Naprawdę dużo p. Maj dański przysłużyłby się swej idei, organizując krucjatę do wyjazdu „na zachód" — wśród księży, lekarzy i akuszerek. Proszę mi wierzyć, że krucjata taka znajdzie tu wspaniałe pole do popisu, bo — warunki są już dzisiaj znośne i z każdym miesiącem będą coraz znośniejsze.

— — — — — —

Jak już wyżej powiedziano — minimalistami są już przeważnie tylko najświeżsi osadnicy. Ci, co już tu przeżyli rok i w czasie tegorocznych żniw mieli co zbierać — wierzą już obecnie w nieograniczone możliwości tych ziem. Coraz to napotyka się na takie dowody wysokiego unowocześnienia pracy rolnej i nie całkiem rolnej na tych ziemiach, że naprawdę wierzyć trzeba w to, że staro polskimi metodami nie da się tu gospodarować. Gospodarować tu trzeba z rozmachem, z wzrokiem utkwionym w dalszą przyszłość, z czuciem i prawdziwie gospodarskim instynktem. Sezonowi „osadnicy" nie wytrzymują tu tempa pracy. Przeważnie poodpadali już w ciągu zeszłorocznej wiosny po wyjedzeniu i wywiezieniu zapasów poniemieckich, kiedy trzeba się już było brać za robotę w polu. Reszta odpadła w ciągu ubiegłego lata, a ostatecznie wyrównały grunt te — mysie żniwa, po których „sezonowi pionierzy" ostatecznie zwątpili w łatwy chleb tutaj. I przekonali się, że na dobrobyt trzeba pracować od podstaw, od samych podwalin, od fundamentów. Boć i Ameryka nie od razu stała się „ameryką".

Dzisiejszy element na Warmii i Mazurach jest już tak zgleiszachtowany, że często repatrianci zza Bugu są już tak zżyci z centralakami i odwrotnie, iż nie do pomyślenia jest powiodzenie powszechne niegdyś w ujemnym tego słowa znaczeniu — „Zabugowiec". Wytwarza się tu naprawdę taki konglomerat ras, języków i obyczajów, że co krok to trzeba inaczej nastawiać swoje postępowanie, aby kogoś nie urazić jakimś słówkiem, względnie fałszywym określeniem, czy towarzyskim postąpieniem. Co dobre jest w Centrali i za Bugiem, może być obrażającym dla Rzeszowiaków, repatriantów z zachodu, czy Wileńszczyzny. To jednak nie znaczy, by różnice nie zacierały się, a co ostrzejsze kanty nie ścinały się chociażby przy pomocy „siekiery". I tak w okolicach o przewadze „zabużan" coraz częściej centralacy przybierają ich sposób życia i akcent mowy i odwrotnie.

Wśród repatriantów zza Bugu, którzy przyjechali w całości jest dużo elementu naprawdę wyrobionego społecznie, który obecnie często przoduje w pracach organizacyjnych najrozmaitszych organizacji. Odwrotnie z centrali przyjechali przeważnie najśmielsi, często jednak tacy, którym było za ciasno, już to mniejszego wyrobienia fachowego, czy zbyt krótką praktyką. Ci więc nadrabiają zapałem i młodością, chęcią do pracy na każdym polu. I naprawdę — takiej liczby dobrze egzystujących różnych stowarzyszeń w centralnej Polsce nie spotyka się.

— — — — — —

Entuzjaści odmłodzenia rasy polskiej mogą się również pocieszyć. Za kilkanaście lat wejdzie w życie publiczne narodu nowy typ Polek i Polaków, swego rodzaju „mieszańców", z ojca centralaka, a matki zza Bugu, czy rzeszowskiego, względnie odwrotnie. Podobno spośród nich mogą wyróść ci, którzy przebudują Polskę.

I w związku z tym szanowni księża muszą się doskonale zastanowić — czy można naprawdę tę nową Polskę puścić samopas, bez opieki duchowej, na łaskę i niełaskę często najbardziej przypadkowych kulturträgerów i cywilizatorów z własnego widzimisię mających wielkie wyobrażenia o swoim posłannictwie. Tak jednak obecnie wygląda, że duchowieństwo może jednak pewnego dnia stanąć przed faktem całkowitej laicyzacji społeczeństwa na Warmii i to z własnej częściowo winy. Bo wiem w bardzo wielu parafiach w Centrali wystarczyłby z powodzeniem jeden ksiądz, na Mazurach zaś i Warmii przydałby się chociaż jeden na trzy parafie. Byłoby to już bardzo dużo. I przyczyniłoby się to w bardzo dużej mierze do znormalizowania tutejszego życia. A gdyby tak jeszcze trochę lekarzy i akuszerek...

Aleksander Błachnio

SPRZĘTY

Zaprzyjaźniłem się z moimi sprzętami. Rozmawiam z nimi długo, a one z radością przyjmują uchwyt mojej dłoni. I gdy dotknę ich, czuję ciepło przyjacielskiego uścisku.

Stół, krzesło i szafa muszą być długo oswajane, zanim staną się „moim" stołem, krzesłem i szafą. Jeszcze miesiącami pachnie w nich las i unosi się z drzewa zapach dzikiej wolności. Wtedy sprzęty odpychają człowieka. Żyją one wśród paproci i mchu, rojne ptakami i mrówkami. Wieczorami nieraz można usłyszeć jęk i trzask. To przypomniało się im kucie dzięcioła w pień, wiatr północny, zapach księżyca, rozlanego w rzece, pohukiwania sów i krzątanina mrówek. Długo muszą nasiąkać ciepłem ciała, oddechem bliskim, dotykiem rąk, by przestały być leśne, a stały się ludzkie.

Biada temu, kto sprzęty swe odepchnie obojętnością. Dom stanie mu się wrogiem i każde krzesło i stół zamkną się przed nim w kształt martwej rzeczy. I będzie on żył nie w domu, lecz w murowanej samotności.

Ten, który kupi obcy stół, niechaj się z nim nie poufali w dniu pierwszym. Długo trzeba oswajać sprzęty innych ludzi do siebie. One nie zapominają prędko. I stół, świeżo kupiony, jest pełen zamyślenia o obcym. Pragnie on rąk obcego, tęskni do jego oddechu i słowa. I dopiero kiedyś niespodzianie otworzy się nagle — i ręce zrozpaczone znajdą w nim odwzajemnioną czułość. To dopiero będzie dzień oswojenia.

Odtąd można długo rozmawiać ze sprzętami. One już wtedy współczują i rozumieją. Szczęśliwy, kto się zaprzyjaźnił ze sprzętami. One są wierne.

I nagle w płaczu samotności, poduszka będzie miała słodycz twarzy matki, a zimne ściany, o które się łkającą głowę oprze, uspokajający chłód ramienia żony...

Wojciech Bąk

Leopold Tyrmand

Mane... Tekel... Fares...

1. SĄDY I ZDANIA

Mówi pewien znajomy, ani specjalnie przystojny, ani erotoman, po niedawnym pobycie wypoczynkowym nad morzem:

— Pojęcia nie masz, co tam się dzieje... Istna Sodoma i Gomora!... Każdy wieczór pełen jest takiego ładunku seksualizmu w atmosferze, że aż przeraża... A najbardziej przerażająca jest ta niezwykła łatwość ze strony kobiet... Strasznel...

Mówi oficer, przybyły niedawno z Zachodu, przeciętnie przystojny, wiek około 30-tu lat, mundur Dywizji Maczka, inteligentny, zainteresowany w założeniu ogniska domowego w Polsce:

— Straszna jest ta łatwość w zdobywaniu kobiet, tu w kraju. Zagranicą pocieszaliśmy się, że to wojna i w ogóle „zgniły Zachód", tymczasem u nas okazuje się stokroć gorzej.. Na Zachodzie można było mieć dziewczynę za papierosy, alkohol, czekoladę, były tego spragnione... U nas jest inaczej... Robią to dla sportu... Bez żadnych hamulców moralnych i uczuciowych... Straszne...

Mówi młody, 22-letni smarkacz w mundurze kaprala II-ego Korpusu, przystojny, zblazowany, lecz wcale niegłupi. Był po powstaniu w Niemczech, potem we Włoszech w wojsku, przed pół rokiem wrócił do Warszawy:

— Cholera! Kiwniesz palcem i już... Tęsknię za kobietą, którą należałoby zdobywać, można było kochać... Czy takie są tylko w książkach?...

Te trzy głosy wystarczą. Gdybym chciał, mógłbym cytować jeszcze dziesiątki im podobnych. Szczerych, męskich, trochę brutalnych, lecz głęboko przetrawionych sądów, głosów, nabrzmiałych troską i zniechęceniem. Zdań, padających w otwartej, uczciwej, męskiej rozmowie, wypranej z samochwalczych bufonad.

Wniosek jest prosty. Polska przeżywa okres niesłychanego upadku moralności seksualnej, rozwiązłości obyczajów i zepsucia, jakiego jeszcze nie znała w swych dziejach. Sprawę trzeba postawić jasno i odważnie. I dyskutować. Jak najwięcej o niej mówić. Wtedy uda się jeszcze, być może, opanować sytuację.

2. O TYM, CO ZNACZY DLA NARODÓW CZYSTOŚĆ I NIEWINNOŚĆ KOBIETY, O HISTORII OBYCZAJÓW, CZASACH NAJNOWSZYCH I ŚRODKACH ZARADCZYCH PAŃSTW PRZECIW WYMIERANIU.

Rzekł mi niedawno jeden ze znakomitych polityków młodo - katolickiego obozu, z którym rozmawialiśmy na ten sam temat:

— Niezwykle trudno rozwiązać jest w naszej epoce problem uczciwości seksualnej. Mało jest ludzi, którzy zagadnienie to rozwikłali i żyją w zgodzie z własnym sumieniem, którzy żyją uczciwie i moralnie w tej właśnie dziedzinie. To co dzieje się obecnie w Polsce nie jest nowością powojenną. Wojna zaostrzyła tylko stan choroby narodu, lecz już przed wojną notowano fakt, że ledwie 40% dziewcząt, dochodzących do matury, było dziewicami. Tylko że przed wojną osłaniało się wstydliwie stan ten parawanem milczenia i nie było nikogo, kto by uderzył na alarm, lub spytał na głos: i co dalej?

O tak, niesłychanie wiele skondensowanej prawdy zawierają te słowa. Polska, jak i reszta Europy, idzie po pewnej wspólnej linii rozwoju cywilizacji i kultury społeczeństw, tylko że najciężej przechodzi europejskie choroby i najtrudniej leczy się z nich. Zwłaszcza jeśli nie potrafi uniknąć kolizji pomiędzy własnym typem kultury obyczajowej, własnym stylem życia, a europejską naleciałością.

Wtedy zaczyna się chroniczny proces gnicia.

Głęboko katolicka kultura narodu polskiego wyrobiła sobie na przestrzeni wieków własny model stosunku do kobiety, ideału kobiecego i małżeństwa. Złożyły się nań gallicki kult rycerskości, tkwiący korzeniami w średniowieczu, chrześcijańskie uwielbienie czystości i niewinności kobiety i słowiański solidaryzm i instynkt rodzinny. Najwyższą cnotą, jaką wielbili w kobiecie poeci, filozofowie i moraliści polscy była czystość i stałość uczuć. Gdy na Zachodzie pod koniec XIX-ego wieku, w szczytowej erze wielkomieszczańskiego rozkwitu, zaczyna się wkradać nuta zgorzkniałego sceptycyzmu do pewnych dywagacji na temat kobiety i małżeństwa, gdy rodzą się idee pełnego równouprawnienia odruchów, instynktów ludzkich, gdy cynizm poczyna przeżerać postawę człowieka wobec życia, u nas trwa niezłomnie kult wielkich czystych miłości i jasnej prawości życia małżeńskiego. Kult, podkreślam, lecz gdzieindziej nie ma już nawet kultu.

W wiek XX-ty wkraczamy z nieskażonym ideałem dziewczyny polskiej, żony - Polki i matki - Polki — a co najważniejsze, potrafimy w ogromnej masie realizować bezkompromisowo ideały te w życiu. Epoka polskiego wielkiego mieszczaństwa to apoteoza rodziny, domów rodzinnych, mieszkań z Wilczej i Kruczej, pluszowych mebli i ciotek, budzących grozę. To całożyciowe, zgodne małżeństwa we wszystkich warstwach społecznych, bogate w dzieci, najistotniejsze bogactwo narodu. Pokolenie, zrodzone w tym okresie, nosi na sobie niezniszczalne znamię czci dla piękna życia rodzinnego, dla wysokiego morale w sferze płciowej, dla spoistej, trwałej miłości dwojga ludzi. Ponadto świetnie zna granice tego, co wolno i wie, czego czynić się nie godzi.

Zasadniczą rewolucją obyczajowo-kulturalną jest I Wielka Wojna. Ludzkość wychodzi z niej przeobrażona, dosłownie przenicowana i zmienia kurs cywilizacji i obyczajów o 180 stopni. Na odcinku moralno-rodzinno-obyczajowym zachodzą fantastyczne zmiany. Cały system myślowy, system pojęć w sferze płciowej, wywraca się do góry nogami. Następuje okres niesłychanej emancypcji, niesłychanego rozprężenia, złota era gloryfikowanej przygody miłosnej, pogardy dla uczucia, najprzeróżniejszych teorii fizjologicznego wyżycia się. Małżeństwo staje się instytucją zwalczaną. Odczynienie miłości z wszelkiego pierwiastka uczuciowego i przestawienie jej na tory wyłącznie fizyczne daje w konsekwencji generację ludzi zblazowanych, cynicznych, rozczarowanych do życia, przedwcześnie wyżytych. Szerzy się epidemia samobójstw. Francja wkracza na drogę powolnego wymierania, co rzec można o jeszcze kilku narodach Europy. Za to języki wzbogacają się o nowe wyrazy i pojęcia, jak: „petite amie", „kleine freundin", „girlfriend", czy „małżeństwa koleżeńskie". Królują hasła życia ułatwionego abolicji hamulców, walki z pryncypiami i zasadami postępowania, wyżycia się na krótką metę i za wszelką cenę. 15 lat takiego pionu obyczajowego czyni niebywałe spustoszenia. Plagi masowych samobójstw, ogólne zniechęcenie i wyczerpanie życiem, depopulacja i wynaturzenie instynktów zmuszają narody do samozastanowienia. Budzi się chęć obrony przed śmiercią. Powoli i po cichu, aby nie narażać się na kpiny zaślepionych, a potężnych teoretyków wolnej miłości, społeczeństwa mobilizują siły do walki z obyczajową zgnilizną, z grzybem rozpusty. Sędzia Lindsay w USA choć proponuje łatwe drogi wyjścia, ujawnia odważnie i bezkompromisowo chowającym w piasek głowy purytanom chorobę „małżeństw koleżeńskich", toczącą uniwersytety amerykańskie. Film amerykański, przy pomocy bezmyślnych na pozór „happy-end'ów", stale i umiejętnie przeprowadza konsekwentną propagandę małżeństwa. W Holandii Jo van Ammers Kühler walczy namiętnie o zdrowe, współczesne, świadome szczęśliwe małżeństwo. Kraje skandynawskie, okrzyczane jako „kraje najłatwiejszych dziewcząt", wypracowują w trudzie ogromnej publicystyki własne normy i kryteria moralne, stwarzają jakby nową moralność seksualną, przystosowaną do własnych cech charakteru rasowo-geograficznego i fizjologicznego, wprawdzie różną od kontynentalnych ideałów w tej sferze, lecz bezwzględnie pozytywną. Szwajcaria przeprowadza gwałtowną kampanię na rzecz regeneracji rodziny ze znakomitym skutkiem. Wreszcie Francja, słynne „siedlisko rozpusty", zdobywa się na heroiczną, potężną reformę obyczajową. Stojąc nad brzegiem przepaści tuż przed drugą Wielką Wojną instynkt samozachowawczy tego wielkiego narodu, przy pomocy odrodzonego katolicyzmu, dokonuje tytanicznego przewrotu w ideałach życiowych i umysłowości Francuzów. W łonie narodu francuskiego, w jego najwartościowszych pokładach regeneruje się wstrzemięźliwa moralność, idea rodziny, ideał głębokich uczuć wzajemnych, zasady zdrowego małżeństwa i wielkich sentymentów miłosnych. Niedarmo pisze z podziwem Mirosław Żuławski w „Odrodzeniu":

„... przyczyny zaczynającego się odrodzenia populacyjnego Francji tkwią we wspaniałym klimacie psychologicznym i obyczajowym, jaki kraj ten stworzył dla macierzyństwa. Nie ma chyba dziś drugiego kraju w Europie, gdzieby ciąża dawała kobiecie taki awans społeczny, jak we Francji...".

Tym niemniej zjawisko to nie powstało nagle, lecz jest wynikiem konsekwentnej naprawy obyczajów w sferze moralno-seksualnej i zrozumienia przez kobietę francuską konieczności wstrzemięźliwości fizycznej. Od niejakiego czasu Paryż chodzi na „Romea i Julię", czyli na od lat pogardzaną pozycję szekspirowską w tym mieście. Ileż znamienności leży w tej zmianie gustu... „On est degouté des petits amours, on cherche un grand...". Opowiadał mi niedawno jeden z moich przyjaciół, studiujący obecnie jakąś wyższą szkołę w Paryżu, że na bale studenckie dziewczęta przychodzą z matkami, które siedzą pod ścianą i według najlepszych, dawnych wzorów nie spuszczają oka z córki...

— Gdy chciałem umówić się z jedną z moich koleżanek z uczelni na camping, czyli majówkę, odparła mi po prostu, że muszę przedtem złożyć wizytę jej ojcu i spytać go o pozwolenie... Nie ma więcej łatwych przygód w Paryżu...

Jakie to niemodne, prawda, niewspółczesne, rzekłby ktoś?... Ale zdrowe!... I daje więcej szczęścia w życiu.

Nie ma już łatwych przygód w Paryżu, za to są w Sopocie, Orłowie Warszawie. Punkt ciężkości życia niemoralnego przeniósł się do Polski, zaświadczyć o tym może każdy pijany cudzoziemiec na ulicach Gdyni, lub w rozmowie z drugim cudzoziemcem — w kawiarniach Warszawy.

Już przed wojną zaczęły się westchnienia w stronę chorego podówczas Zachodu, nagminność przedwczesnej defloracji, skandale na żeńskich pensjach, tak zwana „polska emancypacja i równouprawnienie", rozwody, mituzjanizm na przepotężną skalę. Ale już nie po saknd ynawsku, czy szwajcarsku, lecz z polsko-słowiańskim temperamentem, „na pełny regulator" — jak to się mówi. W czasie wojny proces zabagnienia stosunków doszedł do zenitu. 99 proc. młodzieży żyło w stylu „Dziś żyjemy". Trudno odmawiać pewnych racji w pewnych wypadkach, można mieć jednak żal o to, że z prawdziwie polską zdolnością przewidywania nie umiano pomyśleć, co będzie potem...

... i nie przewidziano, że do Polski dążyć będą przez siedem mórz i cztery oceany, przez trzy kontynenty i dziesiątek krajów żołnierze z wymarzonym ideałem materiału na żonę-Polkę pod powiekami i w sercu. I że, przybywszy do kraju i rozejrzawszy się w nim trochę, spluną na stronę...

3. O MORALNOŚĆ NOWYCH CZASÓW

Za mało się o tych sprawach pisze. Zupełnie, jak przed wojną. Strusia polityka, jak nie będziemy t e g o dostrzegać, to t e g o nie będzie. Nieprawda. Będzie.

Majdański walczy o niespędzanie płodu. Słusznie, ale to za mało. Trzeba krzyczeć, że w Polsce cuchnie bagno seksualno-moralne i że właśnie dlatego zabija się nienarodzonych, małych ludzi. „Dziś i Jutro" pisze: „Mężczyźni układają prawa, ale kobiety tworzą obyczaje...". Słusznie. Racja, ale mało i za słabo. Tu trzeba bić słowem po głowie, chłostać, jak niegdyś chłostało się na rynkach... Paweł Jasienica zamieścił w „Tygodniku Powszechnym" wstrząsający artykuł pt. „De profundis", w którym roztacza przed przerażonymi oczami ponury obraz zarazy wenerycznej w Polsce. „... lekarze obliczają, że co szósty mieszkaniec Wrocławia jest chory!..." — pisze Jasienica. Nielicho, co? Jasienica nie daje żadnych konkretniejszych wskazań ani rozwiązań, nie piętnuje za mocno. Źle. I w tej sprawie należy krzyczeć, wymyślać, bić piórem odpowiednie czynniki, domagać się reglamentacji chorych wenerycznie. Blado stwierdza Jasienica, że „wczesne małżeństwa" mogą uratować sytuację. Nieprawda. Nie tędy droga. Wczesne małżeństwo jest w przeważającej większości wypadków nieszczęśliwe, uczy tego najprostsza obserwacja tego, co się dokoła nas teraz dzieje. Przechodzi natomiast Jasienica obok sprawy arcyważnej.

— Szkoła ani nas wychowuje, ani uczy — mówi 17-letnia uczenica prowincjonalnego gimnazjum, zarażona syfilisem, przy badaniu której asystuje Jasienica, zwiedzający szpital wenerologiczny — od najniższych klas, od szkoły powszechnej, młodzież się nieustannie „bawi" (cudzysłowy moje — aut.). Dochodzi wcześnie do poufałości z kolegami...

I tutaj według mnie leży jedno z kluczowych zagadnień. Gdy na Zachodzie likwiduje się powoli koedukacyjną szkołę, gdy cały czar rozdziału płci w młodości zaczyna powoli regenerować się w Europie, zawsze spóźniona o krok Polska wprowadza u siebie na szeroką skalę zakrojony system koedukacyjny. Szkoła koedukacyjna ma jeden wielki grzech główny na sumieniu: rabuje młodzieży jedyny i niepowrotny okres w życiu, okres 15—17-tu lat, gdy budzą się pierwsze wzruszenia, młodzieńcze, a wzniosłe sentymenty, gdy wszystko otoczone jest woalem czarownej niepowtarzalnej potem nigdy w życiu tajemnicy, na glebie której wyrastają najpiękniesze kwiaty uczuć. Rabuje młodym wszystkie nieśmiałe spojrzenia, wszelkie zakłopotane rumieńce i najśliczniejsze, pierwsze „szkolne wieczorki". Brutalnie skazuje chłopców i dziewczęta na ciągłe przebywanie razem, odziera z najcenniejszych i najdroższych iluzji, uczy współżyć z sobą a oducza wzajemnie się kochać. Rabuje młodzieży najcenniejszy element życia: miłość.

Już teraz jest na odcinku miłości w Polsce bardzo źle. Brzmi to jak paradoks, ale proszę się głębiej zastanowić, jest wiele odmian miłości. Z tą najwartościowszą i najzdrowszą jest źle. Co będzie, gdy dorośnie młode pokolenie ze szkół koedukacyjnych, pokolenie „nowych czasów" — wprost nie chcę myśleć.

4. KONKLUZJE

Czy jest na to rada, a jeśli jest, to jaka? Jaka jest rada na zastraszający upadek moralno-obyczajowy społeczeństwa polskiego, otchłań zepsucia i zgniliznę, szerzącą się nagminnie wśród kobiet polskich, zwłaszcza młodej generacji, chaos pojęć i kierunków, wirujący dokoła od dawna niewentylowanego zagadnienia. Przypuszczam, że rada na tę klęskę jest i że przy pomocy szeregu środków zaradczych i akcji specjalnych można opanować sytuację. Historia uczy, że stany takie pojawiały się na przestrzeni dziejów, narody i społeczeństwa popadały w nie, lecz potrafiły także i z chorób najgorszych wychodzić obronną ręką. Uważam przeto, że należy:

1 — Wdrożyć zakrojoną na ogromną skalę akcję oświatowo-propagandową, na którą składałyby się liczne i częste wypowiedzi ludzi nauki i literatury na temat stanu obyczajowo-moralnego społeczeństwa. Dyskusje w prasie periodycznej, artykuły w prasie codziennej, odważne, bezkompromisowe, zmuszą do zastanowienia liczne jednostki, a co za tym idzie i społeczeństwo.

2 — Zaprowadzić przymusową reglamentację chorych wenerycznie. Ujawnianie chorób w formie listów do rodziny. Bezwzględna walka z nielegalnym spędzaniem płodu.

3 — Uruchomienie poradni psychospołecznych, przy uprzednim synchronizowaniu akcji walki o naprawę obyczajów z instytucjami specjalnie w tej walce zainteresowanymi, jak Kościół, szkoła, organizacje społeczne. Zorganizowanie specjalnej akcji walki o podniesienie moralności na terenie młodzieżowym w szkołach i na uniwersytetach, przy pomocy odważnych dyskusji, odczytów, filmów itd.

4 — Likwidacja szkoły koedukacyjnej, jako jednej z przyczyn zła, przy uprzednim dokładnym zbadaniu psycho-socjalnym negatywnego wpływu, jaki system koedukacyjny wywiera na współczesne społeczeństwo i stan jego obyczajów.

5 — Bezkompromisowe poparcie przez Państwo instytucji i idei rodziny przy pomocy środków specjalnych, jak ułatwienia finansowe itd. Bezkompromisowa akcja na rzecz Rodziny ze strony naszego piśmiennictwa, literatury i dziennikarstwa, które m u s i zrozumieć aktualny interes narodu i stanąć na wysokości zadania.

6 — Raz jeszcze: publiczne zohydzanie rozpusty, zgnilizny, wynaturzeń instynktów, braku wstrzemięźliwości, bezmyślnego wyżywania się. Piętnowanie na każdym kroku niewłaściwego stylu życia młodego pokolenia.

7 — I raz jeszcze, na zakończenie, najbardziej aktualne przypomnienie: „... mężczyźni układają prawa — kobiety tworzą obyczaje!...".

Leopold Tyrmand

Nik Rostworowski

O CZYM SIĘ NIE MÓWI

Zagadnienia seksualne wciąż jeszcze należą do tematów, o których w prasie katolickiej zwykło się mówić szeptem. Brutalne wystąpienia Majdańskiego w dużym stopniu przyczyniły się do zdarcia woalu, szczelnie zasłaniającego moralne grzęzawisko. Niewątpliwy prymitywizm zatrącający częstokroć o ordynarność naraził tego śmiałego publicystę na kpiny nawet wśród katolików. Próby zmierzające do ośmieszenia autora „Gigantów" były w lwiej części ostatnią bronią, na jaką mogła liczyć zaciekle demaskowana hipokryzja. Na nieszczęście bowiem dla sprawy, temu „Boyowi" polskiego katolicyzmu, nie dostaje na talencie i kulturalnej ogładzie nieostygłej pamięci apostoła „świadomego macierzyństwa".

Osobiście, zarzucam Majdańskiemu i jego prorokowi Jakimiakowi wąskotorowość tematyki, polegającej na wałkowaniu wte i wewte problemu króliczej dzietności, a przede wszystkim sprowadzanie krytyki czynów nieetycznych wyłącznie do wykazywania ich społecznie niekorzystnych rezultatów.

Jest sprawa, z katolickiego punktu widzenia, nie mniej ważna, która jakkolwiek nie pozbawiona konsekwencyj społecznych może być rozważana w pewnym od nich oderwaniu. Mam na myśli problem **czystości** przedmałżeńskiej. Zupełnie marginesową zresztą wypowiedź na ten temat zdarzyło mi się wyłowić w naszej powojennej prasie katolickiej tylko raz. Była nią uwaga Gołubiewa w „Tygodniku Powszechnym" podczas omawiania „Sprzysiężenia" O ile pamiętam, Gołubiew pisał wtedy o konieczności zerwania z nonsensownym przekonaniem, jakoby wstrzemięźliwość seksualna zagrażała zdrowiu. Tyle.

W przeciągu trzech lat polska młodzież tylko tego się dowiedziała na ten temat od publicystyki katolickiej w sensie pozytywnym. Całą resztę czerpiemy ze „Sprzysiężenia".

W każdej grupie społecznej można zaobserwować zjawisko, które ochrzciłbym mianem „etyki towarzyskiej". Będzie to zespół norm obyczajowych, wiążących pod groźbą towarzyskiego bojkotu. W społeczeństwie polskim, katolickim przynajmniej metrykalnie, etyka towarzyska nie mało zawdzięcza ambonie, choć w żadnym razie nie można jej traktować jako czystej krwi wynik pasterskiej aktywności proboszczów Wierzę, że wnikliwa analiza historyczna procesu wzrostów i maleń autorytetu Kościoła w Polsce, rzuciłaby wiele światła na pasjonujące zagadnienie kształtowania się naszej obyczajowości.

Że postulaty kazalnicy nie zawsze się pokrywają z wymogami etyki towarzyskiej świadczy między innymi „moralne placet" udzielone młodzieży męskiej przez tzw. opinię na dowolną interpretację szótego przykazania. Wojna przyniosła w tej dziedzinie także rewizję pojęcia „virginis intactae". Młody człowiek bez doświadczeń przedmałżeńskich bywa jak zawsze rzadkim okazem. Obecnie „dołączają" dziewczęta.

Obserwowany stan rzeczy jest groźny dla sprawy katolicyzmu z dwu powodów:

1. **Masowość zjawiska przyczynia się do utrwalenia niebezpiecznej sugestii że pewne zasady głoszone przez Kościół są praktycznie niewykonalne.**

2. **Rośnie liczba ludzi uważających się za szczerych katolików, którzy z góry zakładają nieuniknione koncesje w granicach etyki seksualnej na rzecz swoiście pojmowanego musu biologicznego.**

W sprawie pierwszej **winni się wydzieć katoliccy lekarze.** Mamy domagania się od nich rzetelnej relacji o zagadnieniu, na temat którego współczesna wiedza o człowieku nie jedno ma do powiedzenia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wstrzemięźliwość płciowa w jakimś stopniu **wpływa** na rozwój jednostki. Według najbardziej rozpowszechnionego mniemania właśnie fakt odmiennej konstytucji psycho - fizycznej mężczyzn i kobiet zadecydował o wytworzeniu się t.zw. „podwójnej moralności", pobłażliwszej dla mężczyzn. Wszystko jednak co by się na ten temat powiedziało posiada **wartość tylko defensywną.**

Jedynie skuteczną i dla problematyki właściwszą dyskusję można podjąć dopiero w płaszczyźnie wiary i etyki katolickiej. Dlatego należy przed tym nazwać po imieniu te konsekwencje wstrzemięźliwości seksualnej jakie z laickiego punktu widzenia muszą budzić szereg zastrzeżeń.

W dobie upowszechnienia środków antykoncepcyjnych, jakiekolwiek rygory płciowe wydają się zbędną kulą u nogi, niepotrzebnie utrudniającą życie. Przedwczesnemu ojcostwu czy macierzyństwu tak łatwo przecież za pobiedz, a każdy młody człowiek miał wielokrotną sposobność utwierdzenia się w przekonaniu, że dla większości kobiet dużo bardziej atrakcyjny jest mężczyzna z „przeszłością". Obserwacja notorycznych dziwaków na przykładach starych kawalerów i starych panien nie nastraja bynajmniej do entuzjastycznego aprobowania dziwacznej cnoty dziewictwa. Nie tylko przeciwnicy katolicyzmu deklamują o czystości „uderzającej na mózg". Znam wielu młodych, którzy na tym tle nabawili się (nazwijmy to delikatnie) „zahamowań" psychicznych różnego typu, i także takich, co brak naturalnych przeżyć erotycznych rekompensują drogą praktyk zwanych „perwersyjnymi".

Jestem najmocniej przekonany, że **stojąc tylko na gruncie moralności świeckiej,** (nawet odpierając gros zarzutów), **wskazań Kościoła postulujących mocno czystość przedmałżeńską — całkowicie nie obronimy.**

Z punktu widzenia bowiem ich przydatności lub szkodliwości **w sensie społecznego czy jednostkowego utylitaryzmu,** sprawa jest nieomal, że obojętna. Jest tak samo obojętna jak wstrzymywanie się od pokarmów mięsnych w piątek albo uczęszczanie na niedzielną Mszę św. Nie najważniejszy, ale **jeden z równie ważnych** rygorów, którym podlegamy jako katolicy.

Więc po prostu **wystarczyłoby mówić o posłuszeństwie nakazom Kościoła w ogóle.** I to by było najoczywistsze wyjście, gdyby nie jaskrawa dysproporcja w postaci nierównomiernie większych oporów jakie stwarza praktyka życiowa, konkretnie: trudności w opanowaniu popędu seksualnego. Nie trzeba być freudystą, żeby przypisywać sprawom płci rolę motoryczną w naszej doczesnej egzystencji. Ustanowienie sakramentu małżeństwa świadczy najwymowniej o tym, że trudne normy katolickiej etyki płciowej nie są dziełem przypadku. Natomiast **próby wytłumaczenia ich celowości nie mogą być podejmowane w płaszczyźnie wyłącznie utylitarnej.** Katolicyzm to nie teoria naukowa, dotąd respektowana póki jest przydatna.

W rygorach moralności płciowej nie trudno się doszukać pewnych rysów **paradoksu,** tak znamiennego dla naszej religii. Bo czyż na przykład tajemnica Łaski Bożej, rozdzielanej w sposób urągający, elementarnemu poczuciu laickiej sprawiedliwości nie jest jeszcze większym paradoksem?

Katolicyzm jest **systemem,** który można jedynie albo **w całości przyjąć albo w całości odrzucić.** Na świętość skazany jest każdy wierzący. Pojęcie **świętości** to nie przywilej legendarnych istot, ale **konkretny obowiązek** każdego z nas, do urzeczywistnienia **na codzień.** Dlatego ci wszyscy mieniący się katolikami, którzy tworzą etykę na własny użytek, uchylając się od obowiązku świętości, że niby „niegodni" — katolikami po prostu nie są. Bo nie chodzi o upadek, kiedy grzesząc tracimy Łaskę poświęcającą. **Upada każdy.** — Chodzi o **świadomość grzechu.**

Jest źle kiedy jej nie posiadamy. Kiedy chodzimy w niedzielę na Mszę św. bo to łatwe, ale **przekraczanie szóstego przykazania,** traktujemy jako **konieczne odchylenie od słusznej ale za trudnej normy.** Mieści się w tym taka otchłań hipokryzji i przerażającej niekonsekwencji, że każde dalsze stwierdzenie będzie już t y l k o m n o ż e n i e m t y c h s a m y c h t r u i z m ó w.

Istnieje dziecinna zabawa w t.zw. „goryla". Niewtajemniczonemu się mówi, że na „raz, dwa, trzy", wszyscy krzyczą. Ten wygrywa, kto krzyknie najgłośniej. Na „raz, dwa, trzy", wtajemniczeni milczą i w rezultacie krzyczy tylko niewtajemniczony. Więc zostaje „gorylem".

Wśród dorastającej młodzieży spotykamy czasem takiego „goryla". To osobnik, który nakazy religii traktuje serio. W pewnym momencie jednak spostrzega, że jest w tym całkowicie odosobniony. (Normalna rozbieżność między teorią a praktyką).

Jeśli jest nie dosyć odporny duchowo stara się „opóźnienie" nadgonić.

Piszę i myślę o takich właśnie. Zdarzają się częściej niż przypuszczamy.

Sądzę, że dużo wdzięczniejszym polem dla katechetów gimnazjalnych byłoby ukazywanie **bohaterstwa wspaniałej samotności,** jaka jest udziałem każdego świętego, niż mdłe gloryfikowanie cnotliwych świętych młodzieniaszków. **Bez głębokiego wniknięcia w istocie przyczyny** ich „dziwnej" postawy najchętniej zarzucilibyśmy świętym impotencję.

Stosunek katolików do zagadnień związanych z posłuszeństwem szóstemu przykazaniu **jest głęboko sympiematyczny** dla odnoszenia się wiernych do nakazów Kościoła w ogóle. Tu bowiem napotykamy opory najtrudniejsze do przełamania. Słabi lecz **moralnie konsekwentniejsi** odchodzą. Pozostają wyznawcy, **którzy** wiedzą, że często **błądzą i błądzić będą,** ale zawsze posiadają szczerą intencję poprawy i **wierzą, że poprawa jest możliwa. Pozostają również** słabi i niekonsekwentni. Niemożliwość **poprawy** zakładają z góry, ale moralne tchórzostwo nie pozwala im odejść. Takich „katolików" jest niestety najwięcej.

Nik Rostworowski

Stanisław Suszeński

„Wielka tajemnica"

Książkę Włodzimierza Okońskiego *), młodzież okupowanej Warszawy zna dobrze jeszcze z czasów, gdy jako nielegalny druk konspiracyjny krążyła z rąk do rąk.

Wydanie powojenne zaopatrzył krótkim wstępem profesor Uniwersytetu Warszawskiego dr Zdzisław Michalski. Czytelnik dowiaduje się z przedmowy, że ma do czynienia z pracą, opartą o najnowsze rezultaty dociekań medycznych. Skądinąd wiemy, że Autor, młody medyk, pełnił przez jakiś czas funkcje wychowawcy w internacie O.O. Marianów na Bielanach. „Wielka Tajemnica" to niezwykle cenna pozycja wśród prac popularno - naukowych tego typu. Pomijając zaufanie jakie musi już à priori, budzić osoba młodego absolwenta medycyny i pedagoga, należy podnieść przede wszystkim c z y t e l n o ś ć książki. Nareszcie praca, która zrywa całkowicie, ze złą tradycją ckliwych opowiastek o lilijnej czystości. Książka jest strawna dla każdego. Zwięzły, niewyszukany styl, prostota i bezwzględna szczerość w omawianiu spraw najbardziej drażliwych. Silny ładunek dydaktyzmu, wynikającego jednak z umiejętnego zestawienia faktów, w żadnym zaś razie nie z tendencji umoralniania „per fas et nefas". Ten sposób podejścia do tematu wyklucza zupełnie ewentualne pomówienie autora o pruderię, bigoterię etc. Jeśli się chce zaatakować Okońskiego trzeba dowieść nieprawdziwości materiału faktycznego, żmudnie przezeń gromadzonego. Autor narzuca przeciwnikowi ściśle ograniczone pole dyskusji **wyłącznie merytorycznej** i pozbawia go z góry możliwości stosowania t.zw. „chwytów tylnych". A że logika faktów, którymi operuje jest więcej niż bezsporna to już odrębna sprawa.

Ponieważ uważamy, że praca Okońskiego ze wszechmiar zasługuje na rozpowszechnienie, nie wahamy się zapoznać czytelników przynajmniej pobieżnie z zasadniczymi tezami wysuniętymi przez Autora. Oczywiście ramy artykułu nie pozwalają swobodnie czerpać z bogatego materiału faktów ani z ich przekonywującej interpretacji. Musimy się ograniczyć jedynie do wypunktowania momentów najistotniejszych, a ciekawych podbudowy argumentacyjnej — odesłać do oryginału.

Szczęśliwy układ treściowy w dużym stopniu decyduje o wspomnianej już czytelności książki. Dlatego, w tym z musu powierzchownym szkicu, zachowamy nazwy rozdziałów nader trafnie uszeregowanych przez autora.

INSTYNKT SEKSUALNY

Okoński z całą siłą podkreśla doniosłe znaczenie instynktu płciowego w życiu człowieka. Jednak domaga się wyznaczenia temu, jakby nie było **ślepemu instynktowi** właściwego miejsca w hierarchii cech przydanych nam przez Stwórcę. Życie instynktowne u zwierząt jest **podporządkowane określonym prawem natury,** którym muszą ściśle podlegać. Człowieczeństwo natomiast zaczyna się dopiero tam, gdzie życie **instynktowne jest poddane świadomemu kierownictwu woli.** Skoro rezygnujemy z wpływania za pomocą naszych władz duchowych na instynkty, staczamy się niżej poziomu zwierzęcia, gdyż w planach Stwórcy **nie była przewidziana dla człowieka tego samego rodzaju ochrona jaką zwierzę jest otoczone przez naturę.**

Wzorem Carrela, Okoński widzi w człowieku współpracę dwu podstawowych czynników: duszy i ciała. Z jednaką więc pasją atakuje zarówno przerosty stanowiska idealistycznego (Plato), pomniejszającego znaczenie ciała oraz wszelkich wartości materialnych jak i materializm współczesny który zdaniem autora „zagubił istotę człowieka".

„Celem instynktu płciowego jest dążność do stałego złączenia się dwóch istot odmiennej płci. Naczelną zasadą tego złączenia się, jak to wynika z fizjologii i psychiki zarówno kobiety jak i mężczyzny, **będzie wydawanie na świat potomstwa".** Pisząc o miłości towarzyszącej popędowi seksualnemu, autor cytuje prof. Kozubskiego: „Miłość płciowa, aczkolwiek zawiera w sobie wyraźną tendencję do zjednoczenia płciowego, to jednakże niemniej wyraźnie pozostawia na uboczu pożądania seksualne, a skłania się raczej do osoby j a k o t a k i e j". Może nie dość wyraźnie wypadła w oświetleniu Okońskiego zasada monogamii (jednożeństwo). Natomiast intersująca jest diagnoza starokawalerstwa i staropanieństwa **nieuwarunkowanych** przyczynami natury ideowej. Spotykają się one z surowym osądem autora, który pisze wręcz o „zwyrodnieniu charakteru w postaci egoizmu, dziwnej postawy życiowej, sobkostwa"...

PROSTYTUCJA

Okoński przytacza dwie, nieco różne definicje prostytucji: „Prof. Neisser, słynny uczony na zjeździe w Brukseli w 1902 r. prostytutką nazwał każdą kobietę, która utrzymuje pozamałżeńskie stosunki seksualne nawet jeśli te stosunki mają na celu jedynie rozkosze zmysłowe bez chęci zysku. Flexner koryguje to określenie, że „prostytutką jest każda osoba utrzymująca stosunki płciowe, mniej lub więcej obojętna, pobierając za nie opłatę pieniężną lub inne wynagrodzenie".

„Prostytucja nie zaspakaja popędu naturalnego" — czytamy — „pozbawiona jest bowiem wszystkich cech o których mówiliśmy przy omawianiu instynktu płciowego. Jest ona z gruntu nienaturalna, **powoduje jedynie zwyrodnienie popędu** i jako taka może być tylko przejawem stanu chorobowego nadającego się do leczenia. Pracowicie zestawione szeregi cyfr muszą przekonać najbardziej sceptycznie usposobionych o **katastrofalnych skutkach społecznych** nierządu. Okoński pisząc o prostytucji główną winą obarcza mężczyzn. Wskazuje przy tym na ogrom niekonsekwencji jaka towarzyszy uczęszczaniu do domów „mało prywatnych". Najczęściej, żaden z korzystających z usług tych „instytucji" nie chciałby żeby jego żona, matka, siostra lub córka uprawiały ów wstydliwy proceder. „Wszak każde dziewczę jest czyjąś córką i siostrą a będzie czyjąś żoną i matką" — kończy autor swe dojmujące rozważania.

CHOROBY WENERYCZNE

„Istnieją trzy choroby weneryczne" — czytamy. Z kolei następuje szczegółowe omówienie każdej z nich. W tej pasjonującej opowieści lekarz zdominował moralistę. Kiedy Okoński nieśmiało cytuje dr. Szczodrowskiego: „Czystość obyczajów pod względem płciowym to jeden z najpotężniejszych środków walki z niebezpieczeństwem wenerycznym" — ani przez chwilę nie wątpimy, że mamy do czynienia z Okońskim — medykiem. Pedagog odzywa się dopiero w autorze, kiedy gromi pruderię zatajania stanu chorobowego i **leczenie prywatne,** będące jej konsekwencją: „Jedynym ratunkiem jest jak najszybsza interwencja lekarska oraz

(Dok. na stronie następnej)

*) Włodzimierz Okoński — „Wielka Tajemnica".

unikanie wszelkich pokątnych rad i wskazówek".

W podobnie humanitarnym i prawdziwie chrześcijańskim tonie utrzymane są również dalsze rozważania. Aż podrywa, żeby tę broszurę, pisaną przez dojrzałego katolika cisnąć w twarz wszystkim „cnotliwym" matkom i „szanującym się" ojcom, jakże często istotnym przyczynom tragedii własnych dzieci. I znów obszerny materiał cyfrowy zbliżony do przerażających danych, którymi alarmował nas Paweł Jasienica w „Tygodniku".

„W odniesieniu do wszystkich chorób wenerycznych zwłaszcza w stosunku do kiły, należy najdobitniej podkreślić, że są one **teoretycznie uleczalne, praktycznie jednak zaleczalne**, tak, że niejednokrotnie po długich latach mogą być przyczyną przykrych niespodzianek; uleczalność ich zależy od szybkości i konsekwencji w leczeniu". Interesująca jest wypowiedź Okońskiego w związku z stosowaniem penicyliny jako środka mającego jakoby całkowicie zlikwidować zagadnienie chorób omawianego typu: „Podobny huk wywołuje odkrycie salwarsanu, a wiemy już jak dziś się patrzy na całkowitą uleczalność zwłaszcza kiły, oraz jak częste powikłania daje samo leczenie salwarsanem. Doświadczenia klinicystów polskich stwierdzają dobre wyniki leczenia penicyliną tylko w stosunku do trypra ostrego, jeżeli chodzi o kiłę, zdaniem klinicystów, leczenie jej penicyliną daje rezultaty **nie przewyższające** leczenia salwarsanem".

WSTRZĘMIĘŹLIWOŚĆ PŁCIOWA

Sprawa, która wprost krzyczy o autorytatywną wypowiedź przedstawicieli wiedzy medycznej Autor - medyk, nie waha się winić przede wszystkim lekarzy za ugruntowanie się wśród tzw. opinii, mniemania o szkodliwości abstynencji seksualnej.

Okres dojrzewania seksualnego t. zw. **okres pokwitania** przypada u dziewcząt między 11 — 15 rokiem życia, u chłopców 14 — 17 Pokwitanie „charakteryzuje się przede wszystkim gwałtownym wstrząsem organizmu, rozwojem szkieletu, muskulatury, narządów wewnętrznych, układu nerwowego, trzeciorzędnych cech płciowych itd. Równolegle do zmian fizycznych występuje kształtowanie się psychiki, przechodzącej w tym okresie bardzo burzliwe stadia

„Pokwitanie przechodzi, z chwilą zakończenia procesu fizjologicznego dojrzewania, w spokojniejszy pod względem psychicznym okres młodzieńczy, który kończy się u dziewcząt około 21 roku życia u chłopców w 23 — 24. Podobnie jak i w poprzednim okresie następuje i teraz cały szereg przemian w organizmie.

Organizm dojrzały już pod względem płciowym daleki jest jeszcze od dojrzałości fizycznej. Zarówno w tym jak i w poprzednim okresie, wszystkie siły organizmu nastawione są wybitnie w kierunku rozwojowym. Procesy zachodzące w ustroju wymagają korelacyjnego współdziałania wszystkich organów, a więc i organów płciowych. Jak wielka jest praca i wysiłek organizmu w tym wieku świadczy najlepiej często spotykane ogólne osłabienie organizmu, serca i duża skłonność do gruźlicy. Nic więc dziwnego, że zakłócenie zgodnej współpracy rozwojowej wszystkich organów i wytrącanie ich z linii nastawienia (alkoholizm, **przedwczesne życie płciowe**) może się przyczynić nie tylko do ogólnego osłabienia organizmu, lecz co ważniejsze do **zaburzeń rozwojowych.** Elementy płciowe produkowane w młodym ustroju mają wybitny i ważny wpływ na rozwój organizmu, który sam dla siebie jest najlepszym regulatorem. **Polucja jest dla młodzieży męskiej zjawiskiem zupełnie normalnym i fizjologicznym** w ilości pożądanej dla ustroju. **Akt płciowy w młodym wieku jest zjawiskiem nienaturalnym, gdyż występuje w okresie dla ustroju najbardziej niepożądanym, wyprowadzając ustrój z tak koniecznej dla niego w tym okresie równowagi".**

Równie przekonywująco rozprawia się autor z przesądem jakoby wstrzemięźliwość płciowa pociągała za sobą onanię, niemoc płciową lub ujemnie wpływała na system nerwowy. Przyznaje tylko, że „wstrzemięźliwość płciowa **może być szkodliwa** dla systemu nerwowego w wypadku, gdy dany osobnik z jednej strony unika aktu płciowego, z drugiej poddaje się t.zw. prostytucji duchowej (umyślne podniecanie się widowiskami, lekturą, stwarzaniem lubieżnych sytuacji itd.) — **stan ten należy jednak uznać za objaw zboczenia seksualnego,** w którym nie może być mowy o prawdziwie pojętej wstrzemięźliwości".

Uderza częste powoływanie się autora na opinię sowieckich uczonych wypowiadających się również za abstynencją seksualną w okresie dojrzewania fizycznego.

Okoński **zdaje się rozumieć** jednak, że wbrew pozorom ciężar zagadnienia **nie zasadza się w aspekcie wiedzy medycznej.** Dlatego oddaje przy końcu głos wielkiemu pedagogowi prof. Försterowi. **„Nasze stanowisko w kwestii płciowej nie powinno być zależne od wątpliwych teorii wiedzy lekarskiej** bez względu na to czy wypowiadają się one za wstrzemięźliwością czy przeciw niej. Tak zwana teoria naukowa jest gruntem bardzo niepewnym, dlatego właśnie, że idzie tu o związki nieuchwytne, nie dające się stwierdzić za pomocą metod czysto eksperymentalnych". I autor dorzuca od siebie. „Źródłem (kryterium) **może być tylko etyka** jako wyraz woli Twórcy natury ludzkiej — Boga".

MAŁŻEŃSTWO, RODZINA

„Zrodzenie i wychowanie dzieci, jest pierwszym i zasadniczym celem małżeństwa" — pisze Okoński i to stwierdzenie jest punktem wyjścia dla wszystkich uwag następnych. Oczywiście najbardziej zaciekawia czytelnika stosunek autora do dziś zwłaszcza auktualnej sprawy **zapobiegania ciąży.** Kwestia ta jest tu rozpatrywana w świetle **drugorzędnego celu małżeństwa,** którym jest dla autora **wzajemna pomoc i zaspokojenie naturalnych namiętności:**

„Nie ulega kwestii, że ilość potomstwa winna być uzależniona względami zdrowia matki i warunków materialnych rodziców. Niemniej należy podkreślić, że sztuczne zapobieganie poczęciu dziecka, poza nieetycznością jest przede wszystkim **nienaturalne.** Wprowadzenie czynników technicznych do miłosnego pożycia dwojga ludzi, odbiera mu właściwy urok, ponadto stać się może **źródłem urazów psychicznych,** zwłaszcza kobiet. **Poczęcie dziecka** lub **zapobieganie** temu **winno być regulowane naturalnymi przejawami życia fizjologicznego kobiety,** będąc wtedy całkowicie zgodne z naturą więc i z moralnością. „Życie płciowe, **nie mające na celu poczęcia dziecka o ile jest zgodne z uprzednimi zastrzeżeniami jest rzeczą godziwą.** Jego zadaniem jest realizacja wspomnianego **drugorzędnego** celu małżeństwa".

——oOo——

Cztery rozdziały następne są poświęcone sprawom dziecka, eugeniki, higieny osobistej, samowychowania. Kwestia przerywania ciąży w oświetleniu lekarza, zagadnienie odpowiedniego doboru małżonków, z uwzględnieniem dotychczasowego stanu wiedzy o dziedziczności, wychowawcze znaczenie sportu i pracy, metody walki z onanią — oto główna ich problematyka w najbardziej pobieżnym zarysie. Wszystko — zagadnienia równie ważne jak te, o których napisaliśmy tu nieco obszerniej. Jednak niesposób pisać o wszystkim. Książkę **trzeba przeczytać** w całości. Od deski do deski. Jest nie tylko mądra i kształcąca. Jest c z y t e l n a.

Stanisław Suszeński

Leon Bloy

B R A M A

WRZESIEŃ. 1917 r. Zła noc. List od Termier[1]), w którym zapowiada swoją wizytę na dzień jutrzejszy. Ma przyjechać popołudniu wraz z Quarré i przywieźć rozmaite prowianty, aby móc zjeść z nami obiad. List jest datowany z Bayeux, gdzie Termier przeprowadza badania geologiczne.

O 11-ej Joanna i Magdalena[2]) poszły na śniadanie do państwa Pouthier. Także Elżbieta gdzieś wyszła. Zostałem sam z Weroniką[3]).

Nie mam odwagi do pracy. Wziąłem się więc do czytania „Opętanych z Loudun" ojca Surin.

4. — Rozpocząłem nowy rozdział, pod tytułem: „Cud". Idzie ciężko. Potem kończyłem książkę ojca Surin.

5. — Wspaniały rezultat anarchii rosyjskiej. Niemcy wzięli Rygę, klucz Bałtyku! Teraz mogą już maszerować na Petrograd i nie przyjdzie im to z trudnością, bo armia rosyjska zupełnie zdezorganizowana nie stawia im oporu. Jeżeli chodzi o ex-cara, to ten bałwan został wysłany do Topolska na Syberię, tam, gdzie sam przedtem tylu wysłał.

Po południu list od Raugela, który leży w szpitalu w Bourges i bardzo cierpi. Poza tym jest smutny, oczekuje od nas nowin. Odpisałbym na jego list natychmiast, ale nie chcę stracić ciągu myśli. Rozpoczęty rozdział postępuje z wielkim trudem. Pracowałem ciężko aż do wieczora.

7. — Dzienniki są pełne artykułów na temat rocznicy zwycięstwa nad Marną. Ta okoliczność pozwoli mi mówić o niej w nowym rozdziale.

Napisałem zaledwie kilka linijek. Do jutra z tą pracą — naturalnie jeżeli Bóg pozwoli.

8. — Z wyraźną pomocą skończyłem dość łatwo rozdział rozpoczęty wczoraj, a nawet zacząłem następny. Pocieszyło mnie to wobec nie nadejścia żadnego listu ani też żadnej wizyty.

9 niedziela. — Przeczytałem w „Journal" artykuł ks. Touchet biskupa Orleanu tego, który napisał przed dwoma laty, że „Echo de Paris" jest „wiatykiem" Francji. Tym razem, zapytany na temat bitwy nad Marną, nie tylko nie znalazł w odpowiedzi słowa o Bogu, ale nawet ustrzegł się się przed przypomnieniem, że to zwycięstwo miało miejsce w dzień Narodzin Maryji.

Ta niedziela odznacza się tym, że nie mieliśmy dziś ani listu ani żadnego gościa.

13. — List Mulsa zapowiadający na czwartą wizytę polskiego profesora Lutosławskiego, który chce mnie poznać, a którego Muls przyprowadzi. Podobno jest to osobistość bardzo znana. Wolałbym jednak, aby Muls nie dysponował mną w ten sposób.

Oczekując na gości, przepisałem ostatecznie trzy ostatnie rozdziały.

Trochę przed czwartą przybył Muls i jego Polak... To ten samktóry napisał do mnie 5 maja 1915... i któremu odpowiedziałem 7 maja. Przypomniał mi tę korespondencję... Rozpoczynając rozmowy, przybrał postawę reportera i zapytał mnie czy nie przypominam sobie, że żyłem przed swoim narodzeniem. Odtąd... rozmowa stała się tak bezsensowna, że trudno mi o tym pisać.... Jest on optymistą, jakby nigdy mu się nie zdarzyło spotkać żadnego łobuza. Uważa, że nawet Wilhelm jest postacią godną uwagi. Wojna podoba mu się nieskończenie, rozkoszuje się nią, i pragnąłby aby się nigdy nie skończyła. Dziwna była moja sytuacja. Nie mogłem go wyprosić natychmiast z powodu Mulsa no i ze względu na obecność jego syna młodego polskiego legionisty, który przyprowadził, zmuszając mnie bym go ugościł...

Jakoby... ma opinię europejskiej sławy uczonego i filozofa. Jego odjazd sprawił mi wielką przyjemność. *)

Około 6-ej przyjechał Piotr. Do obiadu graliśmy w szachy. Jakub (Maritain) przybył kiedy już siedzieliśmy przy stole. Po obiedzie czytałem trzy ostatnie rozdziały mojej książki. Wszyscy byli zachwyceni. Jakub i Piotr byli wstrząśnięci. Wyszli razem nieco przed 10-tą, wracając do Bures.

Piotr przyniósł mi egzemplarz swej książki „Journal d'un converti", która się ukazała w wydawnictwie Cres.

Grolleau ma przyjechać jutro aby mi pokazać projekt okładki do „Konstantynopola i Bizancjum", **) która ma także się ukazać.

14. — Na mszy z Joanną, Weroniką i Magdaleną.

Listonosz nic nie przyniósł.

Z wielkimi trudnościami rozpocząłem rozdział następny.

Po południu o 4-ej wizyta młodego lekarza Maurycego Bourg, który, leżąc w szpitalu, ciężko ranny, pisał do mnie 1 czerwca 1916. Przedstawił się jako wielbiciel moich książek i wyraził pragnienie, aby mnie zobaczyć. Odpowiedziałem mu, że się będę bardzo cieszył jego wizytą — więc przyjechał. Utracił oko i część nosa. Tym niemniej jest to młodzieniec dobrze wychowany i bardzo miły.

Rozmawiałem z nim z przyjemnością. Także Joanna. Przedstawiłem go córkom. Siedział dwie godziny, uniemożliwiając mi pracę. Mniejsza o to — chętnie go znowu zobaczę.

Przeczytałem z wielką radością prawie całą książkę Piotra. To bardzo piękna książka, biorąca i głęboka, zdolna wywierać wpływ na dusze.

15. — Matka Boska Siedmiu Boleści. Na mszy o 8-ej z Joanną i Weroniką.

Jest to jedno z naszych największych świąt. Rzecz oczywista, że Matka Boża Nieustającej Pomocy zesłała nam pomoc. Piszę w dalszym ciągu z powodzeniem rozpoczęty rozdział.

Przerwano mi pracę zresztą w sposób przyjemny. Po południu odwiedził mnie dr major Lamoureux. Jest to namiętny wielbiciel moich książek, człowiek bardzo sympatyczny. Pracuje nad spopularyzowaniem moich prac.

Rozmawialiśmy dość długo pod drzewami. Czytałem mu kilka rozdziałów mojej książki. Był zachwycony.

17. — Stygmaty św. Franciszka.

Skończyłem prawie rozdział.

Joanna i Weronika poszły po południu do Chaville. Instytut ciotki Marii posiada tam dom wypoczynkowy, do którego zgodziły się przyjąć Weronikę tak spragnioną odpoczynku i samotności. Joanna powróciła w porze obiadowej uradowana, z doskonałego zainstalowania Weroniki, która otrzymała miły pokój, wychodzący na ogród i o dwa kroki od kaplicy. Będzie tam mogła pozostać do 26-go.

18. — Nareszcie skończyłem ten straszny rozdział tyle razy przerywany. Przez cały dzień przepisywałem na czysto. Wieczorem czytałem go Joannie, Magdalenie i Elżbiecie, które twierdziły, że jest bardzo piękny.

19. — Rocznica Objawienia (Matki Bożej z La Salette — u tł.).

List od pani Bienvenue ze słowami wdzięczności i sympatii oraz z przesyłką 100 frs.

Większą część ranka reperuję z wysiłkiem stół w naszej jadalni.

Odpowiedziałem p. Bienvenue. Napisałem, że sprawiła mi miłą niespodziankę swym listem. A czułem się właśnie tak źle! Opowiedziałem jej o swojej książce, której pisanie sprawia mi tyle trudu i zwróciłem jej uwagę na więź, jaka łączy Najświętszą Panią z La Salette i mnie, który będąc Jej współczesnym, jestem jak Ona zmuszanym do milczenia.

Wieczorem liścik od Weroniki. Wydaje się zadowolona ze swego wypoczynku. Po południu Joanna czytała mnie i Elżbiecie bajkę, którą napisała dla Weroniki w czasie naszego pobytu w Lagny...

20.—O 7-ej na mszy z Elżbietą

List od Weroniki. Pisze o pewnej panience z Bordeaux, która nabrała dla niej wielkiej sympatii, gdy usłyszała Weronikę mówiącą, że bazylika w Fourvières przypomina dworzec kolejowy. Raczej należało powiedzieć, że przypomina „dom gry".

Rozpocząłem rozdział: „Granica".

21. — Pisałem i szczęśliwie skończyłem rozpoczęty wczoraj rozdział.

Wieczorem nadszedł pocieszający list od Teofila B[illegible], który przeczytał „Biedną kobietę"*) i jest wprost pijany tą lekturą. Nie pamiętam już listu, który by mi sprawił tyle radości! Wspaniałe są inteligencja tego młodego człowieka i jego odczucie artystyczne. Nie wie jak wyrazić swe oburzenie dla niesprawiedliwości, którą muszę cierpieć. Czemuż ci, którzy tak myślą, są zawsze biedakami, niezdolnymi, aby mi pomóc?

22. — Rozpoczęty nowy rozdział.

Nędza trwa ciągle i zaostrza się.

---

*) Bloy napisał w ciągu swego tragicznego życia 7 tomów swych pamiętników. „Brama pokornych" — to tom ostatni, obejmujący lata 1915-17. Dajemy z tego tomu kilka fragmentów końcowych. 71-o letni pisarz umiera w domku w Bourgla-Reine. 1) Piotr Termier przyjaciel Bloy, 2) Joanna — żona pisarza, Magdalena — młodsza córka obecnie pani Ottonowa Tichy, 3) Weronika— starsza córka, 4) Ostatnia, niedokończona książka Bloy „Dans les tenebres".

*) Rozmowa, o której mógłby niewątpliwie wiele napisać prof. W. Lutosławski, nie wypadła, jak widzimy, efektownie. Przyczyną tego było niewątpliwie chorobliwe rozdrażnienie umierającego pisarza i jego, niestety, nie zawsze życzliwy stosunek do Polaków.

**) Książka Bloy.

*) Jedną z dwóch powieści Bloy.

POKORNYCH*)

Nasza Weronika powróciła o 6-ej razem z matką, która po nią wyszła. Jest zadowolona ze swego odpoczynku, a poza tym w Chaville znalazła sobie nową przyjaciółkę, która czytuje moje książki.

24. — Matki Bożej Wdzięczności. Bolesna rocznica (urodzin zmarłego w rok potem synka Piotra — p. tł.). Na mszy o 8-ej z Joanną. Napróżno usiłuję pracować. Jestem pełen zniechęcenia.

Aż do dziś miałem ciągle przeczucie powrotu do zdrowia, ale to obecnie odeszło.

25. — Pisałem i skończyłem nowy rozdział. Jak powiedziałem zmuszam się do pisania; pracuję jak pod grozą bata, mimo zmartwień, apatii i nieustannego zmęczenia.

Joanna była dziś zmuszona pożyczyć 20 frs. To wszystko co mamy.

Około 6-ej wizyta Boutet, smutnego i wynędzniałego jak i ja. Rozmawialiśmy z godzinę, lecz nie sprawiło to nam żadnej radości.

26. — List do Valette: proszę go, aby mi podał dokładnie, jak się przedstawiają moje rozrachunki z „Mercure" („Mercure de France" — firma wydawnicza — p. tł.); chodzi mi, aby moja żona i córki miały zapewnione prawo sukcesji na wypadek, gdybym zniknął.

Nagła wizyta Grolleau. Przyniósł mi pewne dokumenty bizantyńskie, abym z nich coś wybrał na okładkę. Zrobiliśmy to wspólnie. „Konstantynopol i Bizancjum" ukaże się prawdopodobnie w pierwszej połowie października. Podałem mu adresy Cornuau (księdza C. — p. tł) i księdza D., aby im wysłał książkę Piotra, która osiągnęła, jak mówi, prawdziwy sukces. Rzecz ciekawa, że wreszcie przez tę książkę, którą niewątpliwie kupować będą gminy i biblioteki parafialne, zwrócę na siebie uwagę katolików.

Grolleau mówi, że ostry głód panuje w Austrii. Opuścił mnie po miłej rozmowie pod kasztanami.

Wieczorem o 8,30 przybył Edward Souberbielle z matką i zanocowali u nas. Rozmawialiśmy jakieś pół godziny. Jestem jak prawie zawsze bardzo zmęczony, a także smutny, ponieważ nie mogłem dziś pracować.

27. — Cały dzień przepisuję na czysto dwa ostatnie rozdziały. Nic ważnego. Spędziłem cały czas z Souberbiellem, którego przyjaźń napawa mnie radością. Wieczorem szachy z Edwardem.

28. — Po śniadaniu wszyscy pojechali do Bures, z wyjątkiem Weroniki, która została ze mną. Przygotowując się do nowego rozdziału przeczytałem raz jeszcze „Ogień" Barbusse'a. Wyjątkowa okazja pokazania Francji bez Boga.

29. — Przygotowujemy się na przybycie chrześniaków, którzy zapowiedzieli swój przyjazd. (mowa o Maritainach — u. tł). Przyjechali razem w południe. Śniadanie. Mimo chłodu z przyjemnością można jeść przed domem. Po śniadaniu czytam ostatnie rozdziały, których słuchają chętnie. Choć to czytanie przeszkadza w mojej zwykłej sjeście, znoszę to bez przykrości. Czyżbym naprawdę był na drodze do wyzdrowienia?

Po lekturze kilka partii szachów z Piotrem, Raissa i Wera (pani Maritain i jej siostra — u. tł.) wracają o 5-ej do Bures, Jakub i obaj Piotrowie zostają na obiad. Przed ich odjazdem słuchamy sonaty Francka w wykonaniu Magdaleny, której akompaniuje Edward. Jestem w stanie czuwać i czytać do 11-ej bez wielkiego zmęczenia.

30. — Niedziela. Na mszy o 8-ej z Joanną.

Wieczorem przybył Auric i prosił mnie o czytanie. Zostałem za to wynagrodzony entuzjazmem moich słuchaczy. Moi przyjaciele zapomnieli o Bożym świecie, a ja sam uświadomiłem sobie, po raz pierwszy, niebywałe napięcie i znaczenie pierwszych rozdziałów, których dotychczas nie byłem całkowicie pewien. Dzieląc się wrażeniami rozstaliśmy się o 10-ej.

PAŹDZIERNIK. 1. — Dzień smutny zużyty wyłącznie na czytanie „Ognia", od którego chciałbym się szybko uwolnić, by rozpocząć nowy rozdział.

Czuję w duszy wielki ból. Od pewnego czasu pomoc, która nadchodziła z nieomylną pewnością w chwilach opuszczenia, każe na siebie czekać, staje się niepewna, a wzrost kosztów utrzymania napełnia troską dzień każdy. Budzi się pokusa lęku, że stały cud, który nas podtrzymuje od lat, zniknie, ponieważ Bóg cofnął Swą rękę.

Jednocześnie niepokoi nas Weronika. Biedne dziecko jest chore prawie stale, nie wiemy co robić. W ten sposób upłynęły najpiękniejsze lata jej młodości. Dławi mnie żałość, gdy o tym myślę.

2. — Pracuję po południu. Rozdział o książce Barbusse'a jest już prawie napisany. Po obiedzie słucham muzyki Magdaleny i Souberbielle'a. Kryzys milczenia trwa. Żadnego poważniejszego listu.

4. — Świętego Franciszka z Assyżu. Na mszy o 8-ej byliśmy wszyscy z wyjątkiem Weroniki. Skończyłem i przepisałem długi rozdział o Barbusse'ie...

Późno po południu wizyta Bissonów. Z przyjemnością widzimy tych porządnych ludzi. Bisson przyniósł kilka rysunków i szkiców, które oglądając, nabrałem korzystnego wyobrażenia o jego talencie. Myśli o robieniu portretów. Przeczytałem mu nowy rozdział, który znajduje wspaniałym. Zakończenie napisałem dziś rano, pomysł do niego przyszedł mi podczas mszy; jest to, jak mi się wydaje, jedna z najlepszych moich kart.

5. — Z trudem zacząłem rozdział następny. Dręczy mnie nieznośny smutek; prosiłem, aby po obiedzie wszyscy odmówili głośno różaniec i to mnie trochę pocieszyło.

6. — Na mszy o 8-ej z Edwardem.

Otrzymałem list od pewnego młodego człowieka, w którym są impertynencje i 500 frs. Odpowiadam:

Nie jestem zadowolony z pańskiego listu, który mnie zdziwił i zmartwił. Pisze pan z goryczą i nie bez niechęci o muzykach, którzy pana rozdrażnili w niedzielę. Muszę panu wyznać, że rzeczy, o których mówili, rozdrażniły mnie także i że cierpiałem ze względu na pana. Ale to są przyjaciele wypróbowani, przyjaciele kochani, związani z nami węzłami nadnaturalnymi, o których pan nie wie, a którymi nie wolno pogardzać. Podobnie jak pan, ale od bardziej dawna, rozumieją oni całkowicie moje uczucia i moje myśli. I niech im pan wierzy — nie oni jedni. Bóg, który nie chce, abym otrzymał zapłatę zwykłą, zapłatę materialną, dawaną pracujących jedynie dla ludzi, dał mi za to przyjaciół wyjątkowych, zdolnych do powiedzenia: „cokolwiek bym zrobił dla ciebie, pozostanę zawsze twoim dłużnikiem...". Przyjaciół, którzy zawsze gotowi są dawać i nigdy niczego nie żądają za to...

Po napisaniu listu usiłowałem pracować. Ale nic z tego nie wyszło. Głowę mam pustą i serce nie działa. Czytam.

7. — Niedziela. Msza o wpół do siódmej. Zwrócono nam godzinę słoneczną, ale samego słońca nie zwrócono. Pogoda okropna w ciągu całego dnia. Tym niemniej pracuję i to łatwiej niż można było sądzić. Do śniadania skończyłem rozdział „Solecyzm". Po południu, koło 4-ej, wizyta Termier i Joanny Boussac. Czytam im przez cały czas ich pobytu osiem ostatnich rozdziałów. Niewątpliwy sukces, wzruszenie, widoczny zachwyt u słuchaczy. Termier, jak zwykle, pozostawia mi na życie na najbliższe dni.

8. — Żyjąc w wieku papierków urzędowych, wypełniamy z niechęcią po kartkach na cukier i na węgiel, kartki na chleb. Czynimy to pod przymusem rozsądku, w oczekiwaniu głodu i całkowitego braku wszystkiego.

O 11-ej odjeżdża młody Souberbielle. Będzie żył odtąd w Paryżu w pensjonacie i przygotowywał się do egzaminów. Odwiedzać nas będzie od czasu do czasu. Przepisuję na czysto rozdział. To wszystko, co mogę zrobić w dzień czarny i deszczowy jak dzisiejszy. Żadnego listu.

9. — Zacząłem i dość daleko posunąłem nowy rozdział.

10. — Na mszy o 7-ej sam. Czy to cudowne złudzenie? Zdawało mi się, że podczas tej dziwnej mszy nie zostało odmówione requiem. Ofiarowanie i konsekracja jakby w niepojęty sposób zniknęły. A przecież nie utraciłem zdrowych zmysłów i jestem bardzo uważny. Nic nie rozumiem. Odprawiał mszę stary misjonarz, pełniący u nas funkcje wikariusza.

11. — O 4-ej wizyta Edwarda Souberbielle w chwili, gdy rozpoczynałem nowy rozdział o „Nowobogackich". Potem przyjechał Muls. Otrzymał od van Haasterta wszystkie potrzebne materiały do pracy, którą chce napisać o mnie pt.: „Leon Bloy w Hollandii", w której opowie wściekłe polemiki, jakie się toczyły w tym kraju wokół mojej osoby.

Potem przyjechali Piotr, Aurici, Elżbieta. Ona zresztą zaraz musiała odjechać, ponieważ czuwa nad swym chorym ojcem.

Po obiedzie czytam. Audytorium jest szczęśliwie czułe, ale moje zmęczenie jest ogromne. Rozstajemy się o godzinie zwykłej.

12. — List od nieznanego subdiakona, który mi dziękuje za dobro, jakie mu wyświadczyłem. Pisze, że był „na drodze do wyrzeknięcia się wiary, do zdradzenia katolicyzmu i swych święceń, a przyjęcia herezji", ale lektura moich książek pomogła mu przezwalczyć pokusę. Obecnie, czytając „Journal d'un converti" Piotra, nabrał odwagi, aby do mnie napisać.

Piszę dalej rozdział, lecz wśród jakich trudności! Czas okropny i lodowaty deszcz przez cały dzień. Szybko rezygnuję z pracy i schodzę rozpalić ogień — nasz pierwszy ogień. Mam, jak wczoraj, trochę gorączki, lękam się, że zachoruję.

13. — Świętego Edwarda. Nie mam odwagi wyjść rankiem. Jestem naprawdę zbyt nieszczęśliwy. List do kancelarii sądu pokoju, w którym stwierdzam niemożność zapłacenia czynszu za listopad. To sam Karol Boës poradził mi postąpić w ten sposób.

List od dr Lamoureux mego gościa z 15 września. Zapowiada mi wysłanie pomocy, na którą od tej chwili zaczynam niecierpliwie czekać. U nas nędza okropna. Po południu pieniądze przychodzą: 50 frs. Próbuję pracować. Niezdolność i zmęczenie. Lekka gorączka z wczoraj i z przedwczoraj utrzymuje się i rośnie. Co jeszcze będę musiał wycierpieć?

Udało nam się przecież zorganizować małe święto na przyjęcie Edwarda, który przyjechał wieczorem. Kilka kwiatów, ładny egzemplarz „Zbawienia przez Żydów*), kilka obrazków. Nasz przyjaciel jest bardzo czuły na te dowody pamięci. Ale ja nie mogłem wziąć w uroczystości udziału. Gorączka, zmusiła mnie do położenia się wcześnie, zaraz po lekkiej kolacji.

14. — Mimo gorączki na mszy o 8-ej z Joanną. List od pewnej przyjaciółki z przesyłką 100 frs. Po zapłaceniu 65 frs. za transport drzewa, który nadszedł przedwczoraj, niewiele zostało.

Dokonała się przemiana w cudzie naszego życia. Poprzednio zasiłki poważne nadchodziły w czasie właściwym, dziś na nędzną pomoc musimy wyczekiwać wśród trosk.

Niewątpliwie mam grypę. Cierpiąc, staram się kontynuować rozpoczęty rozdział, nie mogę go jednak skończyć. Żadnych gości. Magdalena i Edward poszli na spacer do lasku w Varrieres. Edward odjechał o 6-ej, przed obiadem do Paryża razem z ojcem, który musi tam przebywać w związku ze służbą wojskową.

Wieczorem położyłem się wcześnie, czując się bardzo chory.

15. — Poniedziałek. Nie wychodzę. Brak mi sił i odwagi. Ważny list od Valette. Przysyła mi wyciąg z konta, o który prosiłem i który jest dla mnie piękną niespodzianką. Przypuszczałem, że tonę w długach wobec „Mercure". Lecz wszystko zmieniło się z latami. Większość moich książek została sprzedana. Obecnie jestem winien tylko 380 frs. 85, a uwzględniwszy, że mi się należy 550 frs za 4-te i 5-te wydanie I tomu „Egzegezy"**), posiadam nawet wierzytelność w kwocie 169, frs 15, którą Valette przyjacielskim gestem chce mi przysłać jeszcze dziś, po czym, jak powiada, nasze rachunki będą **całkowicie wyrównane**. Bóg, który zdawał się oddalać, znowu ku nam powrócił***).

Teofil Briant przysłał z Bretanii masło dla Joanny. Dzień bez innych wydarzeń, dość dla mnie bolesny. Wieczorem musiałem się położyć zaraz po obiedzie jak wczoraj i przedwczoraj. A mimo to udało mi się skończyć rozdział.

16. — Wtorek. Nie wychodzę. Jestem zmiażdżony. Przepisałem rozdział o „Nowobogackich". Potem zeszedłem trząść się przy piecu. I tak było do wieczora. Cierpię bardzo. Po południu przyszły pieniądze od Valette'a.

Joanna była u lekarza. Przyniosła pigułki podobno bardzo skuteczne, przeciwko gorączce, a raczej przeciwko grypie. Nie mogę jeść. Brak mi apetytu. Trzeba by wszystko we mnie zmienić.

17. — Środa. Nie wychodzę. Piszę do Valette:

Choć złamany gorączką i dygoczący przy piecu, chcę jednak napisać do pana kilka słów. Pański list był dla mnie wzmocnieniem. Mając wciąż w pamięci lata złe, miałem uczucie, że jestem przywalony długami, bez możności wydostania się spod nich. Pisze pan, że nasze rachunki są całkowicie wyrównane. Przyznaję, że to cudowne oświadczenie dociera do mnie z trudem. Od tylu lat jestem tak bardzo nieszczęśliwy! Pan nie tylko do mnie napisał, ale także, biorąc pod uwagę, że „Mercure" jest mnie winny, natychmiast wysłał mi pieniądze jakby wiedząc, że przyjdą akurat w momencie, gdy byliśmy zdławieni nędzą... I to, drogi panie Valette, wzruszyło mnie do głębi serca.

18. — Czwartek. Zalecenia lekarza nie dały żadnego skutku. Joanna sprowadziła innego, wojskowego, bardzo sympatycznego. Ten chce przede wszystkim zwyciężyć gorączkę i dlatego zapisał mi aspirynę. Skutek był natychmiastowy, odzyskałem wieczorem spokój i mogłem spać w nocy. Ale lekarz zalecił mi tak że długą kurację między innymi całkowity post przez trzy dni.

Czy to w ten sposób mam być wyleczony?

List od brygadiera Gomesa, który stwierdza w mocnych słowach, że poznał mnie dobrze, bo chociaż nie jest wierzącym, ale „pańskie książki są tak doskonałymi dziełami sztuki". Chce użebrać u ostatniego z proroków zaszczyt wspomożenia go, gdy ten jest przygnieciony nędzami i doświadczeniami.

19. — Piątek. Po nocy nieco lepszej oceniam z możliwym spokojem moje położenie. Chciałbym być już wolny od kuracji, którą przecież mam znosić jeszcze przez wiele dni!

Joanna odpowiada brygadierowi Gomesowi listem dumnym i mocnym. Jeżeli to, co ów brygadier pisze jest szczere, nie pozostaje mu nic innego jak potwierdzić swą zapowiedź czynem.

20. — Stan bez zmiany. Mimo to nabrałem trochę apetytu.

Po południu przekaz na 50 frs od Lamoureux. Joanna odpisuje..

— — — — — —

Na tych słowach kończą się zapiski Leona Bloy. Siódmy i ostatni tom tragicznego dziennika został zamknięty. W dwa tygodnie potem 3 listopada 1917 r. zmarł Bloy. Jak powiada pani Bloy: „pod wieczór, w godzinę, gdy bił dzwon na Anioł Pański, bez rzężenia i bez agonii przekroczył BRAMĘ POKORNYCH".

(tł. j. d.)

*) „Salut par les Juifs" — słynna książka L. Bloy.

**) „Egzegeza banałów" — dwutomowe studium Bloy.

***) Ta notatka jest wstrząsająca. Kiedy się pomyśli, że pisarz, który w ciągu trzydziesto dwu letniej pracy literackiej napisał trzydzieści sześć książek, z których każda jest arcydziełem — a jednocześnie zawsze żył w nędzy, wskutek nędzy stracił dwóch synów, musiał wieść życie nieomal wędrownego żebraka, zawsze zależnego od pomocy innych — i gdy się to zestawi z dzisiejszą sławą Bloy — robi nam się wstyd epoki sprzed zaledwie 30 laty, tak zadufanej w swą postępowość, nowoczesność a jednocześnie tak głuchej na wołanie ostatniego proroka naszych czasów! Nie wiadomo naprawdę, co więcej podziwiać u Bloy: tą tak oczywistą niełaskę fortuny, czy też pokorę pisarza, skłaniającego głowę przed wolą Swego Stwórcy.

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Ofiary można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego".

Tydzień kulturalny

DZIESIĘĆ KSIĄŻEK

Przemiły nasz przyjaciel Kisiel-Kisielewski wysuwa w „Tygodniku Powszechnym" dziecięć książek, które powinien przeczytać każdy młodzieniec pragnący znaleźć się w „nurcie" europejskiej kultury.

Są to: Cervantesa „Don Quijote", Stendhala „Czerwone i czarne", Balzaca „Stracone złudzenia", Dickensa „Klub Pickwicka", Tołstoja „Wojna i pokój", Dostojewskiego „Biesy", Hamsuna „Misteria", Manna „Buddenbrookowie", Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu", Conrada „Korsarz".

Wydaje nam się, że możnaby niektóre pozycje zmienić. Np. zamiast „Czerwone i czarne" (podobno na indeksie?) dać Chestertona „Kulę i krzyż", zamiast „Stracone złudzenia" — „Biedną kobietę" Bloy, zamiast „Misterii" — „Świętego" Fogazzaro, zamiast „Buddenbrooków" — „Krystynę córkę Lawransa" Undset, zamiast „W poszukiwaniu straconego czasu" — „Wyznania" św. Augustyna...

Ale to może zmiana nieistotna?

BOJKOT FILMÓW AMERYKAŃSKICH

Arcybiskup Birmingham ks. Masterson zwrócił się z apelem do kobiet aby podjęły akcję bojkotowania filmów niemoralnych, zwłaszcza amerykańskich.

JESZCZE O WARSZAWSKIM ZEBRANIU Z.Z.L.P.

W uzupełnieniu notatki o warszawskim walnym zebraniu Z.Z.L.P., trzeba dodać, że nowy zarząd został wybrany w składzie: Boguszewska, Iwaszkiewicz, Zawieyski, Dobrowolski, Szelburg-Zarembina, Wat, Karski. Zastępcami zostali: T. Borowski (który się nagle został członkiem Związku) i W. Melcer. Komisja Rewizyjna: Kornacki, Maliszewski, Miller. Sąd koleżeński: Czachowski, Rogowicz, Broniewska. Delegatami na zjazd Z.Z.L.P. do Wrocławia: Iwaszkiewicz, Zawieyski, Rusinek, Dąbrowska, Gomulicki, Rogowicz, Michalski, Karski, Dobrowolski, Broniewska, Borowski.

W zamęcie cztery godziny trwających wyborów nie było czasu na dyskusję nad kłopotami życia literackiego.

PRZEMIANY W JAPONII

Ks. Edward Flanagan, znany założyciel „miasta chłopców", bawi obecnie w Tokio jako doradca Mc. Arthura. W jednym ze swoich przemówień wyraził nadzieję, że Japonia w najbliższych latach będzie chrześcijańską. Masy, dotąd w większości buddystyczne, są według mniemania Ks. Flanagana dojrzałe do tego kroku. Równocześnie narzekał na położenie mnogich setek tysięcy bezdomnych dzieci, które należałoby umieścić co rychlej w szkołach i prywatnych domach. — Od zakończenia wojny 208 misjonarzy otrzymało pozwolenie na wjazd do Japonii. Ilość podań o wizy rośnie.

Olbrzymią rolę odgrywa w tej chwili w Japonii Mugenzai no Seibo — Mepohalonów, w Nagasaki, założony przez O. Kolbe i prowadzony przez polskich franciszkanów.

Gen. Mac. Arthur, powiedział z okazji 350-lecia męczeństwa japońskich katolików w Nagasaki: „Dwie z największych idei świata: chrześcijaństwo i demokracja uzyskały dziś wolność w Japonii, a skutkiem tego jest to największa bezkrwawa rewolucja w dziejach. Wierzę, że w ciągu 10 lat kraj ten stanie się chrześcijański, jeżeli nie przez nawrócenie wszystkich, to przynajmniej w sposobie myślenia i postępowania większości".

LOS LÓŻ KRÓLEWSKICH

W „Sali Błogosławieństw" w Watykanie znajdują się, obok tronu papieskiego, dwie loże dla katolickich monarchów. W czasie wielkich przyjęć loże te stoją obecnie pustką. Nie ma bowiem już ani „arcykatolickiego króla Francji", ani „katolickiego króla Hiszpanii", ani „Sacra Majestas Austrii" i „apostolskiego króla Węgier", ani „najwierniejszego króla Portugalii", ani władców Włoch, Bawarii czy Saksonii.

Ostatnio Ojciec św. Pius XII oddał obie loże do dyspozycji... dziennikarzy i fotoreporterów.

KONKURS NA PIOSENKĘ ŻOŁNIERSKĄ

Dom Wojska Polskiego, łącznie z redakcją „Polski Zbrojnej", rozpisał w maju b.r. konkurs na piosenkę żołnierską p.t.: „Żołnierz woła o pieśń".

Konkurs trwał do dnia 15 września b.r. Wzięło w nim udział 204 autorów, nadsyłając około 400 tekstów.

Jury konkursu w składzie: Borowy Piotr płk., Korta Adam płk., Maliszewski Aleksander, Perkowski Piotr, Werner Henryk płk., na posiedzeniu w dniu 7 października 1947 roku stwierdziło mimo szerokiego zainteresowania się społeczeństwa i wojska ogłoszonym konkursem, nierówny i na ogół niespełniający oczekiwań poziom nadesłanych prac.

Biorąc pod uwagę walory literackie, muzyczne i treściowe nadesłanych tekstów jury postanowiło nie przyznawać pierwszej nagrody, natomiast powiększyć ilość nagród drugich (równorzędnych) do trzech, oraz trzecich (również równorzędnych) do 4-ch.

Otrzymali:

Drugą nagrodę (w wysokości 20.000,— zł. każda): St. R. Dobrowolski, za tekst „Idziemy żołnierze", Jan Rojewski, za tekst „Czekaj na Pradze", Stanisław Wygodzki, za tekst „Pieśń zwycięstwa".

Trzecią nagrodę: (w wysokości 10.000,— zł. każda): ś.p. T. Gajcy-Topornicki, za tekst „Kasia", Tadeusz Kubiak, za tekst poetycki „Dziewczyno moja", Robert Stiller, za „Piosenkę piechura", Zbigniew Stolarek (Paryż), za tekst poetycki „Biało-czerwona".

Poza tym jury konkursu mając na uwadze masowy udział żołnierzy w konkursie, postanowiło wyróżnić dwa teksty, napisane przez żołnierzy a mianowicie: tekst „Żołnierze spod Berlina" kpt. Zielicza Stefana, oraz tekst „Dziś wracam z Berlina", strzelca Orłowskiego Zenona.

Wyróżnionym tekstom postanowiono przyznać dodatkowe nagrody po 5.000,— zł. każda.

Poza tym jury konkursu postanowiło dokonać pewnej liczby zakupów wśród nadesłanych na konkurs prac.

CZAS WYBORÓW W Z.Z.L.P.

Walne Zgromadzenie Oddziału Śląskiego ZZLP. w Katowicach w dniu 26.9.47. wybrało nowy Zarząd w nast. składzie: prezes Wilhelm Szewczyk, wiceprezes Jan Brzoza, skarbnik Jan Baranowicz, sekretarz Włodz. Żelechowski, oraz Zdzisław Hierowski, Aleksander Baumgardten i Zbyszko Bednorz członkowie Zarządu.

W skład Komisji Rewizyjnej weszli: Janina Zabieszowska, Jadwiga Bułakowska i Bogdan Butryńczuk. Do sądu honorowego zostali wybrani: Gustaw Morcinek, Juliusz Germon i Kazimierz Gołba.

Tacjanna Wysocka

Balet angielski w Warszawie

Objawem dużego zainteresowania się sztuką choreograficzną była ilość zapytań, którymi zarzucono mnie w teatrze katowickim po powrocie moim z Warszawy.

— No i jak angielski balet?

— Co to jest?

— Rewelacja?

Sądzę, że o „rewelację" jest bardzo trudno. Balet Moisiejewa jest baletem wspaniałym, ale przecież nie jest rewelacją. Anna Pawłowa była genialna, ale były to jednak tylko szczyty klasyki choreograficznej.

Owszem — znamy na początku naszego stulecia rewelację — Izydorę Duncan. Zapewne był nią i Noverre w 18 wieku. To też ich twórczością zapłodnione jest wszystko, co obecnie obserwować można w sztuce choreograficznej.

Balet angielski jest bezsprzecznie baletem wysokiej klasy. Myślę, że główną jego zaletą jest fakt, że tancerze jego robią tylko to, co zrobić m o g ą, że świadomie podejmują tylko te zadania, które bez zarzutu wykonać są w stanie. I to jest dużą zaletą, jeśli się zważy jak często widzimy w choreografii kuszenie się o rzeczy wielkie, nie mając ku temu podstaw technicznych i odpowiedniego przygotowania pod względem wykształcenia ogólnego i muzycznego.

Otóż w zespole Sadler's Wells wszystko jest zrobione na ostatni guzik. Można nie zgadzać się z tą, lub inną koncepcją układu, można dyskutować nad tematyką baletu, zgodzić się jednak trzeba, że całość widowiska wykazuje poziom wysoki, wyraźny pietyzm i rzetelny stosunek do swej sztuki.

Wszyscy trzej baletmistrzowie angielskiego zespołu, Ninette de Valois, Robert Helpmann i Frederick Ashton, mają wyraźną predylekcję do choreografii programowej. Mamy w układzie Ninette de Valois „Dzieje Marnotrawcy", „Hamleta" w układzie Helpmann'a i poemat „Dante" kompozycji Ashton'a — trzy balety o podłożu wybitnie literackim, programowym, do wykonia których tancerze muszą posiadać kwalifikacje aktorskie. I nie robiąc jeszcze analizy poszczególnych baletów, stwierdzić musimy, że wykształcenie tancerzy angielskich idzie w trzech kierunkach, uwydatniających się z całą dokładnością: pierwszy — to taniec i technika klasyczne akademickie, drugi — taniec wyrazisty (od Izydory początek biorący), i trzeci — studia aktorskie. Jeśli dodamy do tego niewątpliwą muzykalność wszystkich wykonawców — skonstatujemy, że obrana droga jest najsłuszniejsza i doprowadzić musi do największych w tańcu rezultatów. A jeśli mimo to odczuwamy po spektaklu pewien brak entuzjazmu, to przyczyna leży w czym innym. Nie w środkach kształcenia tancerzy, ale w ostatecznych środkach wyrazu choreograficznego.

Scenariusz sześciu obrazów scenicznych pod tytułem „Dzieje Marnotrawcy", pomyślany jest według cyklu obrazów malarza angielskiego 18 wieku — Williama Hogarth'a. To też najciekawszą stroną baletu jest jego strona malarska.

Pozowania tancerzy, świetnie skomponowane ugrupowania, barwne kostiumy, są dla oka prawdziwą satysfakcją. Wykonanie tancerzy jest pełne wyrazu aktorskiego i osiąga szczyt w scenie „Domu Obłąkanych". Mamy przed sobą właściwie świetnie ruszających się aktorów. Tańca — proprement dit — jest stosunkowo niewiele i nie jest on specjalnie interesujący. Najwięcej utaneczniona jest rola „dziewczyny", ale cały jej taniec „przed bramą więzienia" jest pomyślany bez polotu i szerokości, więc też protagonistka tej roli, Julia Farron jest jakby związana i ograniczona pomysłem baletmistrza. W obrazie pierwszym dobrze postawiona i ślicznie wykonana jest rola nauczyciela tańca. Gordon Hamilton tańczy z lekkością i precyzją doskonałą. Jeśli chodzi o zespół — najwięcej ruchu jest w obrazie „uczty". Tu właśnie ugrupowania skomponowane są świetnie, w tańcach dużo jest rozmachu, a każda poszczególna postać grupy ma swój wyraz i charakter. Pomimo to obraz ten robi wrażenie nieprzyjemne, wrażenie fałszywej nuty. Powiedziano w programie: „...młodzieniec smakuje w rozkoszach, jakie dają kobieta, wino i śpiew". Zrozumielibyśmy to doskonale i przy skreśleniu paru sytuacji zbyt realistycznych i po prostu niesmacznych. Ale w całości pomysł swój Ninette de Valois przeprowadza konsekwentnie, obmyśla i opracowuje najmniejszą rolę w każdym szczególe, osiąga czystość wykonania obsolutną i wyraz aktorski bardzo mocny.

Tego samego gatunku wrażenia odnosi widz i po balecie „Hamlet". Niewiele tańca, pięknie skomponowane grupy, świetnie ruszający się aktorzy.

Innego już rodzaju baletem jest „Nokturn" („Paris"). Program podkreśla, że chodzi o wydobycie i oddanie strony muzycznej, a nie ujęcia rodzajowego. Widzimy impresje nocnego życia wielkiego miasta. Panowie we frakach, panie w wieczorowych sukniach, kwiaciarka, proponująca swe fiołki itd.

Treść? Właściwie prawie żadnej, ale za to nareszcie tańczą. I tańczą dobrze. Tu widzimy, że to nie tylko zespół o doskonałej technice klasycznej, ale i zespół władający wszystkimi środkami tańca wyrazistego (nie należy plątać tego z wyrobieniem wyrazu aktorskiego. To nie jest to samo. Dokładne wyjaśnienie wymagałoby osobnego artykułu, ale w dwóch słowach wytłumaczę, że najlepszy aktor — jeśli nie odbył specjalnych studiów — nic nie da widzowi w tańcu wyrazistym).

Otóż w obrazie „Nokturn" tancerze angielscy w każdym ruchu, w każdej pozie są pełni wyrazu, wywołanego już nie żadną literaturą i treścią. Śliczna jest szeroka płynność ich tańca, jego bezszelestność, wypełnianie przestrzeni scenicznej ruchem pełnym powietrza i dążenia do lotu. Tancerka Pamela May przy niewątpliwym dużym temperamencie umie być miękka, jak wosk, uniesiona w górę przez swego partnera w pozach powietrznych i obrotach.

Margot Fonteyn w roli kwiaciarki wybija się bezsprzecznie na plan pierwszy i przykuwa uwagę swoją sugestywną wyrazistością osiąganą przy bardzo oszczędnych środkach wyrazu. Jest to pierwszy moment, pierwszy epizod — niestety zbyt krótki — kiedy emocjonalna strona widza jest poruszona.

Margot Fonteyn z tancerzem Michael Somes'em tworzą parę niezwykle interesującą i — powiedziałabym — wzruszającą, tyle czystości i tyle poezji jest w ich ruchach, pozach i spojrzeniach.

Szczyt piękna osiąga balet angielski w II akcie „Jeziora Łabędziego". Choreografia jest wzorem akademickiej sztuki tanecznej, bo kompozycji znakomitego baletmistrza rosyjskich teatrów cesarskich Mariusza Petipa i Lwa Ivanowa.

Treść baletu znamy wszyscy, a właściwie najlepiej określił libretto baletu klasycznego Theophile Gautier, kiedy pisał scenariusz do „Giselle":

— „Treść baletu? Pretekst, żeby tańczyć. To wystarczy".

Tak. Wystarczy. Napewno. I gdyby trzeba było o tej prawdzie człowieka przekonać, zaprowadzilibyśmy go na balety Czajkowskiego w układzie Petipa.

Układ zresztą czysto konwencjonalny, według najczystszych kanonów tańca klasycznego, wymagający od wykonawców wyrobienia wysokiej klasy. Za wielkie i za świeże są tradycje baletów Czajkowskiego i Petipa, by pokusić się o nie mógł byle jaki zespół. I nie dlatego nie oglądamy tego na naszych scenach, że to są formy przestarzałe, lub obecnie mało interesujące, tylko dlatego, że prawie nie mamy tancerzy, którzy by mogli balet taki tańczyć.

Otóż zespół Sadler's Wells ma prawo tańczyć „Jezioro Łabędzie", bo wystarczyłaby Margot Fonteyn w roli Odetty, a Michael Somes w roli Zygfryda, by zadania się podjąć. Cała postać Margot Fonteyn jest czarująca, zwykły arabesque penché, proste preparation do piruetu, nabiera w jej wykonaniu wyrazu i poezji. W pas de deux z ogromnym wdziękiem sekunduje jej Michael Somes. Absolutne opanowanie techniczne, brak wszelkiej afektacji, czynią tę parę niezwykle piękną.

Ale i cały corps de ballet i pierwsze tancerki, Pauline Clayden, Margaret Dale, Gerd Larsen i inne są na wysokości zadania.

Po „Jeziorze Łabędzim" oglądanie obrazu choreograficznego „Dante" nie sprawia już żadnej przyjemności. Znów literatura, program (i to nie jasny), w całości coś z tańca amatorskiego, po prostu szkoda tak dobrych tancerzy do tego rodzaju układów.

W całości balet angielski pozostawia wrażenie jaknajdodatniejsze i wdzięczni jesteśmy organizatorom tych wieczorów za danie nam możności poznania tego zespołu.

Tacjanna Wysocka.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

KS. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

DZIEJE PAWŁA z TARSU

Obszerna (652 str.) monografia o świętym Pawle, Apostole narodów, z uwzględnieniem badań archeologicznych i religioznawczych.

Warszawa — 1947

Oficyna Księgarska:

Marszałkowska 34

Tadeusz Sław

Piękna Wenus i cnotliwe oleodruki

(Dyskusji o pięknie ciąg dalszy)

Od pewnego czasu bardzo modny **stał się problem społecznej użyteczności sztuki. Zapisano już na ten temat góry papieru, zużyto całe tony temperamentu polemicznego i cysterny atramentu, w wyniku tego wyłoniły się nowe problemy, lecz zagubione gdzieś w zamęcie zapalczywych polemik czekają na rozwiązanie. Polemiki te nie dawały wielkich rezultatów — zawsze wracano do status quo ante. Prawdziwe golono — strzyżono, dyskutanci upierali się jedynie przy swoim stanowisku, ani go nie precyzując, ani udowadniając.**

Ostatnim pojedynkiem tego typu było starcie Kisielewski — Lichniak w „Dziś i Jutro" z dn. 10 sierpnia r. b. Sprowokowała je Lichniakowa recenzja książki Z. Starowiejskiej-Morstinowej pt. „Kabała Historii", w której autor zarzuca ciekawym zresztą essejom pięknoduchostwo, parnasizm i cudzoziemskość. Odpowiedział na to Kisielewski, biorąc w obronę autonomię sztuki i jej ponadnarodowy walor, z drugiej strony zarzucając Lichniakowi ciasnotę. kult programowej krzepy, szowinizm narodowy i krypto marksistowski utylitaryzm kulturalny.

Lichniak replikował w tym samym numerze, sądzę, że słusznie i skutecznie; wysunął ponadto cały szereg pozytywnych tez, niektórych słusznych. innych budzących wątpliwości, przy czym popełnił sporo niedomówień.

Zwarcie było krótkie, gwałtowne, i budziło nadzieję na głębszą, zasadniczą dyskusję, tymczasem jedynym jego owocem były bardziej Kisielewskie niż sam Kisiel „Trzy grosze" pana A. R. O. (D. i J. z dn. 7.IX. r. b.) dołączającego do duetu i swoje, golono, golono...

Odgłosy bitewne zwabiły i J. K. Waydę, który w Tyg. Powsz. z 7.IX. r. b.) streścił dyskusję i stwierdził, że osobiście tęskni za syntezą, sam jednak głosu nie zabrał — a przecież postawione problemy są nadal nie rozstrzygnięte i nie wyczerpano wszystkich ich aspektów. Warto dyskutować!

✶

CZY „SZTUKA DLA SZTUKI?"

Kisielewski zarzuca Lichniakowi, że jest „marksistowską wtyczką" wśród spirytualistów, gdyż twierdzi, że sztuka winna być społecznie odpowiedzialna. To samo przecież twierdzą marksiści! Zdawałoby się, że argument niezbity.

Marksiści rzeczywiście wymagają od **sztuki użyteczności społecznej, tylko, że rozumieją przez to zupełnie co innego niż Lichniak — mianowicie, przydatność do rozbudzania świadomości klasowej i udział w walce klas.**

Stanowisko Lichniaka, postulujące społeczną użyteczność sztuki jest całkowicie katolickie i realistyczne, gdyż liczy się z dogmatem o skażeniu natury ludzkiej przez grzech pierworodny, z rzeczywistymi własnościami człowieka, — jest ono katolickie także dlatego, że za „społecznie użyteczne" uważa to, co zbliża społeczeństwo do ideału „Civitatis Dei" a jedność ułatwia osiągnięcie jej celu — zbawienia.

Katolicyzm głosi, że człowiek chociaż nie całkowicie zły, skłonny jest do grzechu, jego władze pożądawcze nie są z natury podporządkowane kierownictwu rozumu.

Stąd właśnie pochodzi fakt, że człowiek może pożądać zła, a więc czegoś przeciwnego jego naturze — fakt zbijający intelektualizm etyczny Sokratesa, przekonanego, że wiedza o cnocie i cnota są jednym. Kisielewski (a za nim p. A. R. O.) stawia tezę, że piękno z natury swojej pokrywa się z dobrem, że pociąga ku niemu, że działa umoralniająco. Jest to teza bardzo ryzykowna, daje się bardzo łatwo zbić teoretycznie, i — co ważniejsze — zbyt jawnie koliduje z faktami. Przeczytajmy autobiografię np. Cellinego, przyjrzyjmy się stosunkom panującym na dworach książęcych Włoch Renesansu, gdzie właśnie piękno grało tak dużą rolę, a przekonamy się jak często najwyższy artyzm idzie w parze z niemoralnością, nieraz nawet zbrodnią

Owszem, dzieło sztuki może nas podnosić ku Absolutowi, ale tylko mocą zawartych w nim pierwiastków moralnych Piękno odgrywa tu rolę tylko pomocniczą, sprawia, że dobro bardziej wszechstronnie pociąga człowieka — ale na tym się jego umoralniająca rola kończy. Zdaje się jednak, że nie ten rodzaj oddziaływania ma na myśli Kisielewski, pisząc, że piękno jest odblaskiem Absolutu i winno nas doń podnosić, odrywając od szarych, ziemskich spraw; inaczej mówiąc piękno winno w nas wzbudzać dyspozycje dodatnie, przede wszystkim moralne — bo dojść do Boga można jedynie przez życie zgodne z normami moralności — ale właśnie tutaj spotykamy pewne niebezpieczeństwo.

Dzieło sztuki jest tworem intencjonalnym, niepełnym, schematycznym, posiada konieczne przedłużenie w osobowości odbiorcy. Fakt, że nie ma dwóch identycznych charakterów ludzkich sprawia, że każdy inaczej przeżywa dzieło sztuki i w inny sposób wypełnia schemat. Dlatego właśnie niemożliwe jest istnienie jakiejkolwiek obiektywnej i konkretnej normy estetycznej, a zastosowanie kryteriów moralnych jest utrudnione. Przykład: osobiście uważam „Wyspę Umarłych" Boecklina za moralnie szkodliwe, choć doskonałe artystycznie malowidło — bo pobudza mnie do pesymizmu, rozkłada wewnętrzną dyscyplinę, — co nie przeszkadza wcale, że na innych ten sam obraz może działać inaczej.

Ten relatywizm moralny ma jednak granice, są bowiem kategorie tematów i ujęć, które z góry trzeba umieścić na indeksie, gdyż śmiało można założyć, że ich skutki moralne u każdego będą ujemne, przy czym ich estetyczna doskonałość może nawet potęgować zło. Dotyczy to zwłaszcza całych systemów estetycznych.

Przecież nawet gloryfikację zbrodni można oprawić w piękne ramki. Kogo, jak nie oświęcimskich oprawców, mogła wychować sztuka hitlerowska, owe „Muskelnpackette" Thoracka? Powie ktoś, że sztuka niemiecka była zbyt prostacka, by być sztuką naprawdę, zarzuci drugi, że była zależnym od Goebelsa rzemiosłem. Zgoda! Ale dla Niemców była sztuką bo odpowiadała ich pojęciom estetycznym, a stała się alembikiem zbrodni tylko dlatego, że jej treść nie była podporządkowana normom prawdziwej moralności.

Krańcowy parnasizm rezygnuje programowo z jakiegokolwiek pozaestetycznego oddziaływania na człowieka. Sztuka dla sztuki! Piękne i wzniośle brzmiące hasło, hasłocień, utopia. Nie ma na świecie rzeczy, któraby nie oddziaływała na człowieka swoją treścią a więc w sposób pozaestetyczny. Abstrakcyjna. nic nie wyrażająca konstrukcja barwnych plam i brył działa swoją treściową pustką — przyzwyczaja do przyglądania się tylko powierzchni zjawisk. uzmysławia i dezintelektualizuje. Hasło parnasistów jest tylko pustym kalamburem, myślowa plewa. Sztuka dla sztuki nie przestaje oddziaływać pozaestetycznie, przestaje tylko oddziaływać w sposób świadomy i celowy, stając się raczej czynnikiem anarchii niż ładu. Postawa przeciwna też jest błędna; tam, gdzie narzuca się sztuce użytkowość i włącza w tryby propagandowej machiny państwa, degraduje się ją do roli rzemiosła, obie krańcowości — przewaga formy w parnasiźmie i przewaga treści w utylitaryźmie — są równie niebezpieczne, obie jednako ograniczają wychowawcze znaczenie sztuki.

By dzieło sztuki mogło pretendować do tej nazwy musi przejść przez cenzurę kryteriów estetycznych, by mogło spełniać w społeczeństwie pozytywną rolę, musi uzyskać aprobatę kodeksu moralnego. Nie obskurantyzm powodował Savonarolą, gdy wyklinał Medycejską rozwiązłość, lecz właśnie troska o najwyższy sens człowieka, o podporządkowaną Dobru kulturę.

Warto tutaj omówić poruszony przez p. A. R. O. problem tzw. kultu ciała.

Czy ukazywanie na terenie sztuki ludzkiej nagości jest dopuszczalne ze względów etycznych i estetycznych, czy też nie? Jeżeli tak, to pod jakim warunkiem? Jeżeli nie, to dlaczego?

Ciało ludzkie jest arcydziełem Stwórcy i dla tego właśnie mogło stać się tematem wielu nieśmiertelnych natchnień artystycznych. Taki np. Dawid Buonarottiego!

Moralnie ciało ludzkie jest obojętne, gdyż jest tylko biernym narzędziem woli. Harmonia jego kształtów sprawia, że gdyby człowiek był tylko intelektem, mogłoby ono być doskonałym tematem dla twórcy, często jednak przy konsumpcji dzieła wtrąca ją swoje trzy grosze i władze pożądawcze i bezinteresowna admiracja estetyczna zostaje zluzowana przez przeżycia innego rodzaju. Zależy to tylko od ujęcia tematu, osobowości odbiorcy, stopnia artystycznej doskonałości przedmiotu. Dzieła o dużym ładunku piękna stanowią dla smakosza tak silne przeżycie estetyczne, że niemal wykluczają możliwość zejścia na jakieś boczne, pozaestetyczne dróżki. Patrząc na Wenus z Milo człowiek o dużej wrażliwości estetycznej tak może zapamiętać się w kontemplacji czystego piękna, że naprawdę staje się ona „zwracającą ku cnocie" „Verticordią" jak ją nazywali Rzymianie.

Nie wszyscy jednak są tak subtelnymi estetami i nie każdy zdobędzie się na tak czyste przeżywanie piękna. Dla większości ludzi nagość, nawet ta, która raczej powinna kierować myśli ku źródłu Piękna, ma znaczenie całkiem określone i nie mające nic wspólnego z kulturą estetyczną. Większość piękno tego rodzaju traktuje po prostu jak pornografię i z tym nastawieniem do niego podchodzi.

„Dla czystego wszystko czyste" — lecz nie każdy potrafi być czysty i nie każdy jest dostatecznie wyrobiony moralnie, by użyć dobrze to, co można użyć także i źle. Musi więc istnieć indeks i musi istnieć sztuka „ad usum Delphini". oczywiście sztuka na poziomie, dająca pełne przeżycie estetyczne a jednocześnie nie zagrażająca moralności odbiorcy — sztuka wychowawcza, rozwijająca smak i zamiłowanie do piękna.

Pan A. R. O. uniesiony świętym oburzeniem piorunuje na „parafiańskie móżdżki" i uważa, że oglądanie nagusów jest dla młodzieży odpowiednie. gdyż „ma o niej lepsze wyobrażenie". **Ciekawy jestem tylko, co by zrobił ze swoim, powiedzmy, 13-letnim synkiem, gdyby go przyłapał nad lekturą takiego dzieła sztuki pisarskiej, jak np. Owidiusza Ars Amandi lub Boccaccciowego Debamerona?**

Czy poleciłby mu do deklamacji na jakiejś uroczystości szkolnej doskonale napisane Boyowe pikantnostki? Czy będąc z kilkunastoletnią córką w galerii obrazów, nie przeszedłby śpiesznie koło malowidła przedstawiającego np. Ledę z łabędziem w całkiem nie dwuznacznej sytuacji.

Jeżeliby wówczas nie postąpił jak każdy „kulturalny analfabeta", „purytanin obleśny". to — gratuluję „nie perwesyjnej psychiki".

Jeszcze jedno. Kto z potępianych „móżdżków" uważa dzieła Mauriaca za niemoralne dla tego, że unikają momentów drastycznych? Chyba tylko ci, którzy ich nie czytali. Mauriac demoralizatorem! Koń by się uśmiał! Mauriac, który na każdej niemal stronie swoich powieści pokazuje, że zło jest złem, grzech grzechem, u którego każdy wiersz, każda litera jest apologią Dobra — to doskonale dobrany przykład! To nic, że widzimy całą absurdalność zła, że pokazane jest ono w bardzo niepociągających barwach, — naszemu postępowcowi, nie parafiańskiemu móżdżkowi wystarcza pierwszy lepszy drastyczny fragment by dzieło uznać za nadające się na indeks „parafiańszczyzny".

Autorowi „Trzech groszy" wyrażamy całkowite uznanie za jego wysoką inteligencję i kulturę a przede wszystkim za znajomość doktryny katolickiej.

✶

Ten sam błąd co i Kisielewski, tylko odwrócony o 180 stopni, popełnił Lichniak, pisząc, że tylko to, co moralne, może być naprawdę piękne.

Protestujemy w imię zdrowego rozsądku i rzeczywistości!

Można się zgodzić, na twierdzenie, że aliaż piękna i moralności jest pięknem wyższego rzędu — niemniej jednak jest to i piękne i moralne. Są przecież arcydzieła sztuki pogańskiej, nie mającej z moralnością katolicką żadnych punktów stycznych, którym nie można odmówić doskonałości estetycznej. Z drugiej strony na każdym kroku spotykamy (niestety!) nieskończone wprost ilości ckliwie poczciwych bohomazów, cnotliwych oleodruków, mieszczańskich „landszaftów" o treści — Święci Pańscy, albo myśliwy, sarenki, psy, najwyżej sąd Parysa, — nikt w tym nie znajdzie nic gorszącego! — ale kto, posiadając większe wymagania estetyczne potrafi spostrzec tam prawdziwe Piękno.

To nic, że moralność jest hierarchicznie wyższa od estetyki — jest przecież kluczem do realizacji Najwyższego Dobra, podczas gdy estetyka normuje tylko wartość mu podporządkowaną, piękno — obie są normami innego rodzaju, występują na dwóch różnych, nie dających się zastąpić płaszczyznach. To co dobre, jest dobre, to co piękne jest piękne — są to dwa różne, choć mogące się z sobą pokrywać zakresy logiczne. Idealny stan rzeczy byłby wtedy, gdyby się one pokrywały z sobą, by można ich zależność ująć w odwracalną formułę, to, co piękne jest moralne — lecz nawet i wtedy nie możnaby mówić o zlaniu się tych zakresów, gdyż każdy z nich w dalszym ciągu odnosiłby się do innego porządku, innej płaszczyzny rzeczywistości. Normy estetyki są całkowicie subiektywne, by przedmiot był piękny, wystarczy, jeżeli się podoba, mówi się co prawda, że warunkiem piękna jest harmonijny układ elementów, ale o tym, czy ów układ odpowiada warunkowi, decyduje jedynie osobiste poczucie estetyczne. Całkiem inaczej jest w dziedzinie moralności. Norma etyczna jest powszechnie obowiązująca, jednoznaczna, bo opiera się na pozytywnie wyrażonej woli Boga i nie dopuszcza subiektywnej interpretacji.

Dla tego właśnie ma rację Kisielewski, twierdząc, że w katolicyźmie mieszczą się najróżniejsze, nawet sprzeczne z sobą systemy estetyczne, Lichniak zaś, że piękno nie daje się zdefiniować, można je tylko odczuć.

KOSMOPOLITYZM CZY NACJONALIZM?

Drugą sprawą, o którą rozbijały się homeryckie temperamenty Kisielewskiego i Lichniaka jest zagadnienie, czy sztuka winna być kosmopolityczna czy narodowa.

Zdanie Lichniaka, że „Kabała Historii" jest książką o obcym klimacie, wywołało u Kisielewskiego prawie szok nerwowy, jakich to zarzutów nie było w jego artykule! I ciasnota, pławienie się we własnym sosie, materialistyczny nacjonalizm i niechęć do wchłaniania cudzych osiągnięć itd.

Kisielewski zaznaczył tylko swoje stanowisko, ale ani go bliżej nie sprecyzował, ani go nie uzasadnił. Lichniak w swojej odpowiedzi wyjaśnił, że nie ma wcale zamiaru negować potrzeby kontaktu i wymiany ze światem, jednocześnie wysuwając tezę, że Polacy, specjalnie łatwo egzaltujący się cudzoziemszczyzną, winni możliwie rozsądnie czerpać z cudzych rezerwuarów kulturalnych i raczej starać się o znalezienie nowych źródeł natchnień artystycznych na własnym terenie. np. w twórczości ludowej. Jest to zdanie słuszne, nie posiada jednak w artykule Lichniaka koniecznego uzasadnienia.

Powracam do zagadnienia zawartego w tytule. Kosmopolityzm, czy nacjonalizm? Naszym zdaniem to i to, lub raczej, ani to, ani tamto, tylko — rozsądek.

Każda sztuka jest wyrazem pewnej epoki i środowiska. jest w silnym stopniu treściowo i formalnie określona i uwarunkowana tymi czynnikami. Sztuka grecka mogła powstać tylko na terenie kultury greckiej, Balzac nie istniałby, gdyby nie postępująca w jego czasach emancypacja mieszczaństwa, a Tołstoja czy Dostojewskiego trudno wyobrazić sobie jako wytwór Rewolucji Październikowej. Ta zależność między twórcą i środowiskiem jest dwojaka. Środowisko dostarcza artyście tworzywa, on zaś współdziała w kształtowaniu się środowiska.

Normy piękna są subiektywne, wynikają z takiej a nie innej konstytucji psychicznej jednostki, z tego, co nazywamy osobowością — ale jednocześnie są wytworem społeczeństwa, gdyż także i ono urabia w jednostce pewne dyspozycje kulturalne. Dzieła tutaj prawo mimikry, nakazujące przybieranie kształtów i barw właściwych otoczeniu. Dla tego właśnie nie ma na świecie kulturalnej anarchii i indywidualizmu lecz określone cywilizacje: chińska, indyjska, europejska z mnóstwem lokalnych odmian.

Systemy te są tym bardziej zwarte i ekskluzywne, im pierwotniejsze i bardziej zamknięte jest społeczeństwo, w którym powstały. Jest to funkcja socjologicznie niezmiernie ważna, lecz w ciągu przemian historycznych ciągle tracąca na ważności. Sprawia to fakt postępującego procesu zmniejszania się świata i przenikania wzajemnego różnych elementów kulturowych. Wątpię, czy Grek z epoki Peryklesa mógłby zachwycać się egipskim budownictwem czy fenicką ceramiką. Dla niego to były wytwory barbarzyńców, a przecież społeczeństwo greckie było stosunkowo ruchliwe i kulturalnie chłonne.

W kulturze współczesnej panuje da

lcko posunięty synkretyzm i nawet pewnego rodzaju amorfizm. Chłonie ona wytwory wszystkich narodów kontynentów i ras, nie dbając bynajmniej o logiczną zwartość całości. Obok reporterskiego weryzmu — egzystencjalizm, obok europejskiego walca — murzyńskie bugi-wugi.

Współczesna kultura to jedna ogłuszająca kakafonia. Czy powstanie z niej kiedyś zgodna pieśń, czy dożyjemy jakiejś jednolitej, międzynarodowej kultury. Wątpliwe, gdyż kultura jest czymś tak samo żywym i zmiennym jak społeczeństwo, duch ludzki nie da się standaryzować. Pojęcie jednolitej kultury międzynarodowej zawiera w sobie sprzeczność.

Ta mała zwartość współczesnej cywilizacji sprawia, że jej waga socjologiczna staje się w obrębie narodu coraz mniejsza, że sztuka jest coraz mniej społecznym lepiszczem.

Grek także i dla tego był Grekiem, że rzeźbił i budował według norm przyjętych w swoim kraju, Picasso nie dlatego jest Hiszpanem, że maluje według zasad futuryzmu, bo przecież tak malują i Włosi, i Rosjanie, i Yankesi — sztuka przez swoją formę nie wiąże go z żadnym społeczeństwem. Jest to przykład bardzo jaskrawy, dobrze jednak charakteryzuje współczesne tendencje sztuki. Dłużej przetrwała narodowa wartość dzieła sztuki, jednak i ona, wskutek postępującego procesu odrywania dziedziny piękna od świata znaczeń, coraz bardziej się kurczy, dopuszczając do głosu sztukę o tematyce kosmopolitycznej.

Proces ten najsilniej uwydatnił się w narodach bardziej ruchliwych, posiadających stałe i wszechstronne stosunki ze światem a więc przede wszystkim w społeczeństwach Zachodu. W społeczeństwach bądź cywilizacyjnie zapóźnionych, bądź też programowo izolujących się od zetknięcia z zagranicą widzimy zjawisko inne. Dominuje tam tendencja do czerpania z własnych zasobów kulturalnych, do kontynuowania i rozwijania tradycji i przez to samo do wyzyskania sztuki jako społecznego cementu. Wiąże się z tym także i postępujący proces przesuwania się socjologicznego środka ciężkości z dziedziny sztuki na dziedzinę światopoglądu, ściślej — polityki, potęgujący jeszcze zmniejszenie się ważności sztuki jako lepiszcza społecznego.

Dopiero na tle tego procesu można wyznaczyć rolę i pozycję sztuki polskiej, jej postawę wobec własnych tradycji prądów przenikających kulturę międzynarodową.

Kultura polska winna tylko tyle czerpać z zasobów obcych by nie stanąć w poprzek prądu, zmierzającego do uniwersalizacji świata i tylko to, co nie grozi jej popadnięciem w niezdrowy synkretyzm, lecz przede wszystkim winna kontynuować własne tradycje i zżywać formy i elementy pochodzących z polskiego dorobku kulturalnego. Tylko wtedy będzie mogła skutecznie konkurować z zalewem bezkształtnej kultury międzynarodowej.

Tadeusz Sław

Z wędrówki po scenach polskich

GŁUPI JAKUB — RITTNERA na scenie Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach

To jeszcze nie jest otwarcie sezonu. 37 lat sobie liczącą komedię Rittnera podano Katowicom jako przekąskę przed mającą nastąpić w połowie listopada premierą „Krakowiaków i Górali".

Przyznać trzeba, iż przekąska była naogół smaczna. Strawność jej zawdzięczamy oczywiście w pierwszym rzędzie dobrej, wzorowej pod względem dramatopisarstwa, robocie klasyka modernizmu, Tadeusza Rittnera.

Ktoś z krytyków, bodajże Czachowski, nazwał „Głupiego Jakuba" komedią realistyczną. Określenie dziś już o tyle straciło swą słuszność, o ile zmieniła się na przestrzeni tych 37 lat interpretacja słowa „realizm". W tej najlepszej bodaj komedii Rittnera łatwo się doszukać zagadnień trącących myszką, zagadnień, które, realne wówczas, dziś wywołują na usta delikatny uśmieszek pobłażliwości.

Problem centralny, walka o prawdę, nie przestał być ważkim gatunkowo — porównania z Ibsenem są tu bardziej na miejscu, niż gdy się „Dziką kaczkę" chce stawiać obok „Dnia bez kłamstwa" (było tak, było...), ale sytuacja Jakuba, dziś już żadną miarą nie ma dla nas cech istotnej przyczyny, dla której miałaby się walka rozgrywać.

Autor „Wilków w nocy" to mistrz drwiny. Ironia jego jest bardzo niebezpieczna i bezlitosne ostrze owinięte zostało w watę pozornego ciepła. Stąd paradoksy: Szambelan chłostany przez autora za wszystkie swoje, dla otoczenia nieznośne, przywary, wydaje się nam być, na pierwszy rzut oka osobą sympatyczną.

Mistrzowie od krytyk teatralnych wystąpią pewnie z zarzutami ciężkiego kalibru pod adresem teatru, który dziś gra Rittnera.

Będzie, być może, mowa, o społecznej nieprzydatności „Głupiego Jakuba", choć nie trudno się w tej komedii dopatrzeć satyry na ziemiaństwo. Dla mnie zarzuty te będą nieistotne wobec zasadniczego waloru spektaklu: zobaczyliśmy sztukę napisaną z dużym talentem poetyckim, a przy tym spełniającą wszystkie warunki stawiane dziełu przeznaczonemu na scenę.

Dla naszych dramaturgów współczesnych spektakl ten to dobra lekcja, dla publiczności okazja do tęsknych wzdychań: czemuż, ach czemuż, dziś nikt tak nie pisze.

Wiktor Biegański wystąpił w „Głupim Jakubie" w podwójnej roli. Jako reżyser i jako odtwórca postaci Szambelana. Nie jest moim wynalazkiem opinia, iż błędem jest takie łączenie ról. W pracy reżysera nie dostrzegliśmy inwencji, czy próby wniesienia jakiejś nowej koncepcji. Ot, najłatwiej utartym szlakiem. Jako odtwórca roli Karola zebrał p. Biegański dużo zasłużonych braw, aczkolwiek, trzeba niestety o tym wspomnieć, widziało się szereg niedociągnięć. Wiele momentów było wyraźnie „puszczonych", co położyć trzeba chyba na karb niewystarczającego wysiłku. Rzecz jasna, iż aktor tej klasy co Biegański nie mógł się mylić w interpretacji. Powód do naszych, drobnych zresztą rozczarowań, dały niektóre sceny potraktowane zbyt nonszalancko z liczeniem, iż treść „kwestii" będzie wystarczającą dla wywołania braw.

Pomyłką zasadniczą była Hania w interpretacji Brochockiej. Ambitna córka fornala wypadła tu na jakiegoś wampa z dużą dozą demoniczności. Kiedy Rittner pisał tą komedię Grety Garbo nikt jeszcze nie znał.

Znakomitą parą małżeńską, żyjącą z łaski Szambelana i za talerz strawy znoszącą wszystkie jego szykany, tworzyli, niezawodna w rolach tego typu Helena Rozwadowska, godna następczyni Dulęby i pełen umiaru w niebezpiecznej roli Roman Hierowski.

Jasiecki nie przekonał nas w roli Jakuba. Sceny miłosne były sztuczne nie tylko z winy partnerki. Przesadna egzaltacja była zupełnie nie na miejscu.

Dla sprawiedliwości wymienić jeszcze trzeba poprawne epizody p. Michnowskiej (Katarzyna) i Mierzejewskiego (Prezes). Pozostali wykonawcy nie zasługują na wzmiankę.

Dekoracje Wiesława Makojnika, solidna, bogata i przekonywująco dopasowana do akcji.

„Głupi Jakub" będzie się podobał na Śląsku. Drobne niedociągnięcia aktorskie znikną napewno w dalszych spektaklach, całość się wygładzi, doszlifuje i zasłuży na coraz żywsze oklaski.

Mieczysław Markowski.

Życie gospodarcze

Pozycje kluczowe*)

STRUKTURA ZAWODOWA

Pracownicy różnych zawodów i różnych gałęzi przemysłu mają prawo, a nawet obowiązek zrzeszać się celem lepszej ochrony swych praw oraz celem lepszego rozwoju poszczególnych zawodów. Zrzeszenia te — (z chwilą ich uznania przez obowiązujące ustawodawstwo) nazywane są syndykatami i mogą mieć charakter mieszany lub też ściśle określony. Syndykalizm jest rzeczą konieczną w nowoczesnym świecie gdyż prowadząc do udziału pracowników w kierownictwie gospodarką kraju, umożliwia im przyjąć część odpowiedzialności na siebie oraz przygotowywać ich do funkcji organizacyjnych, administracyjnych i politycznych. Pożądanym byłoby, aby syndykaty organizowały ubezpieczenia kolektywne wzajemną pomoc oraz zajmowały się zagadnieniami kredytu i wyżywienia.

Jeżeli współpraca pomiędzy syndykatami realizuje się w sposób organiczny z prawem decyzji i wywierania sankcji — mamy do czynienia z korporacją, bez której żadna gospodarka kierowana nie może być zdrową. Zwrócić jednak należy uwagę na to, że kiedy koordynacja ekonomiczna i realizacja solidarności socjalnej dokonuje się za pośrednictwem organizacji zawodowych bez poszanowania natury społeczności podstawowych — korporacjonizm istnieje, lecz jest korporacjonizmem kapitalistycznym lub etatystycznym. Korporacja jako taka jest rzeczą zdrową. Natomiast wspomniane wyżej typy korporacjonizmu są wybitnie szkodliwe, gdyż prowadzą do nadużyć i ucisku. Wtedy to korporacjonizm staje się narzędziem potęgi pieniądza lub państwa totalitarnego.

SYNDYKALIZM KLASOWY

W wyniku ewolucji, polegającej na oparciu struktury syndykatów na przymusie — syndykaty pracowników dążą do tworzenia porozumień międzynarodowych lub ogólnonarodowych, które zrzeszając ogromne masy pracowników, wywierają duży wpływ polityczny oraz są genezą akcji rewolucyjnej. W ten sposób syndykalizm wychodzi poza zasięg ściśle zawodowy i staje się ruchem proletariatu, który broni swych praw. Nie sposób jest potępiać tak pojmowany syndykalizm, gdyż jest on jedyną ochroną robotników przed kapitalizmem. Chrześcijanie występują przeciwko niektórym formom syndykalizmu, gdyż potępiają w nich pierwiastek materialistyczny oraz stosowanie aktów przemocy. W szczególności chrześcijanizm występuje przeciwko syndykatom o tendencjach marksistowskich, co nie znaczy, by byli przeciwni syndykatom, które mają na celu przemianę struktury ekonomiczno - socjalnej w myśl zasad zawartych w encyklikach papieskich.

GOSPODARKA SEKTOROWA CZYLI ZRÓŻNICOWANA

Stwierdza się, że wysiłek zmierzający do jak najlepszego zużytkowania środków produkcji i energii ludzkiej może być efektownym w takiej strukturze, w której produkcja i wymiana nie pozostaje w rękach jednostek. Z uwagi jednak na konieczność utrzymania pewnego zakresu wolności jednostki (aby nie utrudniać postępu), słuszną i realną wydaje się być koncepcja gospodarki sektorowej.

STOPIEŃ ASOCJACJI LUB KONTROLI KOLEKTYWNEJ

Wychodzi się z założenia, że sama demokracja polityczna bez zaistnienia demokracji ekonomicznej nie jest w stanie zapewnić danemu narodowi wolności i dostosować jego życia do rozwoju cywilizacji.

Dążenie do osiągnięcia powyższego, a więc dążenie do osiągnięcia równowagi w zakresie surowców, środków produkcji i ziemi przy pomocy prostych formuł uwłaszczenia całkowitego i kolektywizacji integralnej jest uproszczeniem do absurdu istoty rzeczy.

Istota rzeczy polega bowiem na tym, aby wszystkie dobra służyły jednostkom, rodzinom, społecznościom i cywilizacji. Uważa się, że realizacja powyższego odbywać się musi równocześnie:

przez efektywny i progresywny udział pracowników w odpowiedzialności za eksploatację danego przedsięwzięcia gospodarczego,

przez udział narodu we władzy w podwójnej formie: reprezentacji zawodowej i w reprezentacji politycznej,

przez dekoncentrację władzy politycznej na rzecz społeczności podstawowych (rodzina, gmina, samorząd),

przez kontrolę sektora drugiego rzędu (jak wyżej),

przez etatyzację tych zakładów przemysłowych, które są bezpośrednio potrzebne do obrony kraju.

W ten sposób specjalizacja, kolektywizacja i nacjonalizacja nie są jakąś złudą, ale przyjęciem udziału w produkcji i dystrybucji równocześnie od dołu przez pracowników i użytkowników i od góry przez kierowników zarządu lub społeczności, bez względu na istniejący system eksploatacji przedsiębiorstw.

Problem asocjacji i kontroli nie będzie mógł być tak długo rozwiązany, jak długo ograniczać go będziemy do komprymowania prawa własności.

Podkreślić należy, że nie istnieje jednolite i automatyczne rozwiązanie omawianego problemu. W każdym jednak wypadku problem kontroli kolektywnej wytyczną być musi: zachowanie wolności człowieka oraz odpowiedzialność całej społeczności solidarna.

STAN RÓWNOWAGI

Osiągnięcie stanu równowagi może nastąpić tylko w wyniku:

1) racjonalnego zastosowania techniki do warunków lokalnych i regionalnych,
2) progresywne wprowadzenia gospodarki sektorowej.

Należy dążyć do osiągania równowagi w zakresie produkcji i konsumcji na mniejszych przestrzeniach, tak aby działalność gospodarcza była wykonywana przez jednostki będące w kontakcie z danym terenem.

Zapotrzebowanie na dobra pierwszej potrzeby winno być dobrowolnie ustalane przez jednostki konsumujące (rodzina, społeczność, przedsiębiorstwo) oraz winny być skontrolowane przez organa państwowe (samorządne). Wtedy dopiero opracowane być mogą plany produkcji i rozdziału. Plany te w odniesieniu do dóbr pierwszej potrzeby winny być sztywne, a w stosunku do innych dóbr mogą być elastyczne. (K)

*) **Od Redakcji: podajemy ostatnią część pracy wydawnictwa Humanisme et Economie, p.t.: „Pozycje kluczowe", aczkolwiek zamieszczone w niej sformułowania budzą z naszego punktu widzenia poważne zastrzeżenia, zarówno natury formalnej jak i merytorycznej.**

JESZCZE O CARITASIE

Tydzień Caritasu już minął, mógłby zatem ktoś zdziwić się, że do tego tematu wracamy. Wydaje się jednak, że celem zorganizowania owego tygodnia była nie tylko doraźna zbiórka darów, lecz również przypomnieniem wielkiego problemu, jakim niewątpliwie jest akcja charytatywna.

Problem ten ma dwa zasadnicze aspekty: moralny i ekonomiczny. O ile aspekt moralny jest naogół zrozumiały i jest doceniany, o tyle ekonomiczny dla wielu nie jest zrozumiały i dla tego też nie jest dostatecznie doceniany. Celem niniejszej wypowiedzi jest zwrócenie uwagi właśnie na ten aspekt.

Istnieją trzy czynniki przy pomocy których dzieli się dochód społeczny a mianowicie 1. system cen i płac, 2. system podatkowy, 3. społeczna akcja charytatywna.

Zasadniczym czynnikiem jest niewątpliwie system cen i płac. Na drodze zmian stosunku cen jednych artykułów do drugich przesuwa się dochód społeczny z jednych grup gospodarczych do drugich. Skoro np. zwyżkują ceny artykułów rolnych a spadają ceny artykułów przemysłowych to zwiększa się udział rolnictwa w dochodzie społecznym kosztem przemysłu. Jeżeli utrzymuje się jednolity poziom płac a zwyżkują ceny to udział t. zw. świata pracy w dochodzie społecznym maleje.

System cen okazał się niedoskonałym sposobem dzielenia dochodu społecznego zarówno pod kątem widzenia postulatów moralnych jak i gospodarczych. Dlatego też uruchomiono jako czynnik dodatkowy, system fiskalny. Państwo w drodze przymusu przesuwa część dochodu społecznego z jednych grup społecznych do innych i w ten sposób realizuje określone cele.

Jednakże i ten czynnik nie potrafił zapewnić właściwego podziału dochodu społecznego, ponieważ i całe grupy społeczne i w ramach grupy jednostki nie partycypowały w dochodzie społecznym w takim stopniu jakiego wymagało zaspokojenie najbardziej prymitywnych potrzeb ludzkich. W tym stanie rzeczy powstała społeczna akcja charytatywna jako czynnik uuzpełniający i korygujący działanie systemu cen i systemu fiskalnego.

Wprawdzie działanie każdego z wyżej wymienionych czynników jest inne w różnych ustrojach społeczno gospodarczych. Tym niemniej wydaje się niewątpliwe, że nawet w systemiei gospodarki planowej zachodzi konieczność stosowania dwu pierwszych czynników, jak również czynnika trzeciego t. zn. społecznej akcji charytatywnej. Wynika to przede wszystkim z niedoskonałości nawet najbardziej doskonałego systemu planowania, a pozatem jest nieodzowną konsekwencją tego faktu, że o udziale w dochodzie społecznym rozdzielanym przy pomocy systemu cen i systemu fiskalnego decydują przeważnie określone kwalifikacje, określony tytuł. A tymczasem obok ludzi silnych, ludzi „zdobywców", są ludzie słabi fizycznie i psychicznie, którzy nie wytrzymują walki, która w pewnych ustrojach społeczno gospodarczych jest łagodzona, lecz która mimo wszystko trwa w każdym ustroju.

Wydaje się że w ten sposób dochodzimy do zasadniczego stwierdzenia iż społeczna akcja charytatywna, to nie teren wyżywania się dewotów, lecz to poważny i niezbędny czynnik podziału dochodu społecznego.

Powyższe stwierdzenie wyłania dwie konsekwencje. Pierwsza — to konieczność właściwej organizacji społecznej akcji charytatywnej, druga — to właściwe postawienie tej akcji w ramach ogólnej polityki społeczno-gospodarczej. (Ł)

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

6

Stefan Kisielewski (Kisiel)

Stanowili oboje parę, znakomicie reprezentującą ten najdoskonalszy, jak mówią twór Boży, zwany po łacinie h o m o s a p i e n s.

— — — — — — —

Lecz mimo owego wzajemnego dopasowania, które w myśl przemądrzałego prawa o doborze naturalnym winno rzucić ich sobie w ramiona, przebieg rozmowy nie wskazywał bynajmniej na to, aby tych dwoje ludzi łączyła jakaś więź uczuciowa — w sensie pozytywnym — bo przecież nienawiść też jest uczuciem i potrafi spajać człowieka z człowiekiem tak samo silnie, jak miłość. Nie popełnilibyśmy zaś wielkiego błędu stwierdzając, że nienawiść właśnie, a nie co innego nadała w tej chwili oczom Karola Hagewanda niebezpieczny, wężowy wyraz, zaś głosowi jego brzmienie głuszonego całym wysiłkiem podziemnego pomruku. Tak — to bez wątpienia nienawiść. Odpowiednikiem jej w zamkniętej i opanowanej twarzy Alicji Dillon był wyraz ni to politowania, uwidoczniony zwłaszcza w lekko drwiącym, pozbawionym humoru, lecz za to mocno zaprawnym goryczą i pogardą uśmieszku, z jakim wzruszyła ramionami, w ten milczący sposób odpowiadając na ostatnie, pełne gwałtownego nacisku pytanie inżyniera.

— Nie zechce mi pani wmawiać, że nie domyśla się pani motywów tego zabójstwa — potwórzył jeszcze bardziej zniżonym głosem Hagewand. Czuło się, że ukrócenie siły głosu, który był nadal mruczący, jak bardzo daleki warkot grzmotu oraz zmuszanie się do mówienia powoli i wyraźnie wiele musiało inżyniera kosztować — napięcie wewnętrzne biło z niego jak żar z pieca, choć nie uwidaczniało się w żadnym szczególe jego opanowanej fizjognomii.

Alicja Dillon i te słowa pominęła milczeniem, nie zmieniając pozycji ani nie podnosząc oczu.

— Nie powie mi też pani chyba, że pani nie rozumie, jakie niebezpieczeństwa mogą wyniknąć z tego morderstwa i dla nas i dla was — podjął Hagewand, nie doczekawszy się odpowiedzi. Przecież chyba pani się nie łudzi, że policja pozostawi sprawę swojemu losowi. Puścili już w ruch najzręczniejszego szpicla, który, jestem tego absolutnie pewien, dotrze do sedna bardzo szybko. A przecież potrzeba wam czasu -- bez czasu to całe zabójstwo na nic się nikomu nie przyda.

Alicja uderzyła nagle dłonią w stół i podniosła pełne blasku oczy na inżyniera. Głos miała czysty i przenikliwy, jak wibrujące srebro.

— Proszę przestać! — powiedziała ostro. Najwyraźniej chce pan mi wmówić, że mam coś wspólnego ze zbrodnią! Czy pan jest już zupełnie bezwstydny? Jeśli chodzi o skrytobójstwa, to chyba pan lepiej zna tę metodę ode mnie. Całe życie pan się tym zajmował. Mówi pan do mnie porozumiewawczo, jak cyniczny wspólnik; to jest wstrętne! Mordowanie niewinnych ludzi pozostawiamy panu i pańskim kolegom, panie Hagewand — macie w tym już wprawę!

Inżynier zgarbił się nieco, żyły na opartych o poręcze fotela rękach nabrzmiały mu silnie. Przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar tymi potężnymi dłońmi zmiażdżyć Alicję, albo raczej zadusić ją, bowiem uporczywym — łakomym wzrokiem wpatrywał się w jej smukłą, kształtną szyję. Ścisnął jeszcze silniej poręcze fotela, przełknął ślinę i przemówił wreszcie spokojnym, choć nieco zdławionym głosem:

— Nie będę zwracał uwagi na obelgi — o tym pomówimy kiedy indziej. A jeśli pani chodzi o moralną stronę sprawy, to rzeczywiście przyznaję, że wolę własnymi rękami popełnić zabójstwo, niż dopuścić do tej milionowej, powolnej zbrodni, którą wy zamierzacie dokonać na całej ludzkości.

— Jeśli chce pan zobaczyć najstraszniejszą masową zbrodnię jaka istnieje na świecie, proszę przejść się po ulicach Dzielnicy Wschodniej, tam, gdzie mieszkają bezrobotni — odparowała bez zmrużenia powiek Alicja. — Tam pan zobaczy, na czym opiera się wasze Państwo i wasz Naród. Pewno pan tam nigdy nie był: nie lubi pan takich widoków! Tam ludzie gniją za życia! Tam rozwiewają się wszelkie złudzenia i upadają wszelkie piękne teorie; wasze patetyczne hasła wobec tego widoku to zbrodniczo lekkomyślne igraszki. A raczej nie — to wy jesteście igraszką w rękach tych, którym zależy na utrzymaniu nędzy i wyzysku.

— Znam tę dzielnicę lepiej niż pani — ja z niej pochodzę — mruknął uspokojony nagle Hagewand. — Nie będzie mnie pani pouczać — ja sam gniłem za życia i wiem, co się przy tym czuje. Te doświadczenia właśnie dały mi wolność, której pani nigdy nie pojmie. Wiem, że pani tam mieszka i patrzy na to codzień — ale zawsze będzie tam pani obca, jak turysta. A ja, ja jestem tam u siebie — dlatego właśnie mam siłę przeciwstawić się wam, którzy chcecie rozciąć wrzód, nie rozumiejąc, że zakazicie cały organizm. To jest zbrodnia! Trzeba wyleczyć krew — rozumie pani — wyleczyć krew?!.

Ostatnie słowa wypowiedział głośno i dobitnie, z niezwykłą siłą. W miarę jak mówił, z twarzy Alicji Dillon znikało napięcie i podniecenie, ustępując miejsca spokojnej pobłażliwości. Przez chwilę ogarnęła wspaniałą sylwetkę Hagewanda wzrokiem, w którym było nawet coś na kształt współczucia. Hagewand uchwycił to spojrzenie i raptownie zamilkł. Po chwili przemówił innym zgoła, suchym i ironicznych głosem.

— Zresztą mniejsza z tym — nie będziemy prowadzić tu ideologicznej dyskusji — to jest bezcelowe. Jeśli zaś chodzi o pani oburzenie się na nasz cynizm, to pozwolę sobie przypomnieć, że przy swoich szlachetnych dążeniach wy również nie cofacie się przed indywidualnymi morderstwami. Możecie sobie to nazywać jak chcecie, ale zbrodnia pozostaje zbrodnią. Nie potrzebuję chyba dawać przykładów? Pani nie zaprzecza?

Alicja siedziała nieruchomo, jedynie przy ostatnich słowach inżyniera zacisnęła nerwowo usta. Na twarzy jej odmalował się wyraz gniewu i wstrętu, który szybko ustąpił absolutnej, nieprzenikniętej obojętności.

Przez dłuższy czas w pokoju panowała cisza, którą przerwało tylko na chwilę poważne bicie wielkiego zegara, umieszczonego nad frontonem Zakładu Chemii. Było południe. Inżynier zdawał się głęboko namyślać, na czole zarysowała mu się pionowa fałda. Po chwili zaczął znowu, przyciszonym, odmierzonym głosem:

— Pomówmy spokojnie. W tej chwili nie jest najważniejsze to, co nas dzieli, ale to, co nas łączy. Łączy nas fakt, że jesteśmy oboje w walce z obecnym państwem i że lada chwila przedstawiciel tego państwa, zawodowy, płatny pies policyjny zjawi się tutaj. Wobec niego jesteśmy, chcąc nie chcąc, sojusznikami i dlatego proponuję, abyśmy obmyślili sobie wspólną taktykę. Przecież jasne jest, że policja zna już motywy zbrodni — teraz zrobią wszystko, aby wykryć jej rezultaty — to dla nich kwestia życia i śmierci. Proszę więc, niech mi pani powie szczerze bez osłonek: co znaleźliście w pokoju profesora?

Łuny rumieńca uderzyły na twarz Alicji Dillon. Zerwała się z krzesła i dysząc ciężko stanęła naprzeciwko Hagewanda.

— To łajdactwo! — krzyknęła. — Wy-cie go zamordowali! Wy...

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Hagewand położył palec na ustach — Alicja zastygła w miejscu, jak posąg wzburzenia. Po dłuższej chwili Hagewand powiedział opanowanym głosem, utkwiwszy jednocześnie oczy w leżących przed nim na biurku papierach:

— Proszę!

W drzwiach ukazał się woźny Zakładu, trzymający w ręku bilet wizytowy, na którym zawisły oczy Hagewanda i Alicji.

— Ten pan jest na dole — powiedział woźny, kładąc bilet przed Hagewandem.

— Prosić! — mruknął kierownik laboratorium znużonym głosem.

Po wyjściu woźnego Hagewand podsunął bilet Alicji z wymownym, pogardliwym wzruszeniem ramion, po czym zapatrzył się w okno. Alicja z zadumą odczytała kilka razy:

> **ANTONI GROMEL**
> Komisarz Policji Śledczej
> tel. 1000-08.

VII.

Zanim opiszemy dalsze wydarzenia, jakie rozegrały się w Zakładzie Chemii zmuszeni jesteśmy cofnąć się trochę w czasie, aby zapoznać czytelnika z przeżyciami komisarza Gromela od chwili, gdy owładnięty pewną rewelacyjną myślą opuścił był swój pokój w Wydziale i udał się do komendanta policji śledczej, pułkownika Norda.

Pułkownik Nord fizycznie reprezentował stadium przejściowe między nosorożcem a hipopotamem, duchowo zaś stanowił coś pośredniego między dzieckiem a mędrcem. Był olbrzymiej postaci, nie posiadał wcale szyi, zaś głos wydobywał się zeń z trudnością, gruby i niewyraźny. Zresztą gwoli rzetelności opisu zaznaczyć należy, że z głosu tego pułkownik robił użytek nader rzadko, tak jakby zdolność mówienia znajdowała się u niego w zaniku. Niewątpliwie byłby ciekawym okazem dla antropologa — nie przychodziło to zresztą nigdy na myśl jego podwładnym, zwłaszcza komisarzowi Gromelowi, który patrzył w niego jak w przysłowiową tęczę.

Komisarz stawał zwykle przed obliczem szefa z wielką dozą szacunku a także ze sporą szczyptą tremy, bowiem pułkownik przy całej swej zewnętrznej ociężałości posiadał umysł lotny i bystry, to też nieliczne jego, z trudem jakby, głębokim basem wymrukiwane i wychrząkiwane pytania trafiały od razu w samo sedno sprawy. Jak wiemy, specjalnie tego właśnie poniedziałku trema komisarza mogła być znacznie bardziej uzasadniona, niż zwykle: dotychczasowy przebieg śledztwa w sprawie profesora Galarda nie wiele przyniósł policji sukcesów, a zamordowanie Luizy Lore w czasie trwania tegoż śledztwa było wprost klęską dla tak rutynowanego i zasłużonego, ba — głośnego nawet, funkcjonariusza służby bezpieczeństwa, jakim był komisarz Gromel. Toteż godzinę jeszcze temu komisarz czułby się w gabinecie szefa fatalnie: na szczęście zbawcza myśl, jaką nasunął mu nic na pozór nieznaczący widok jadącego mokrą i mglistą ulicą samochodu opanowała w tej chwili jego umysł, tak dalece, że po raz pierwszy chyba w życiu komisarz, siedząc przed obliczem pułkownika Norda i składając mu (pułkownikowi oczywiście) sprawozdanie, był zupełnie nieobecny duchem.

Roztargnienie komisarza nie pozwoliło mu dojrzeć drobnych objawów świadczących o tym, że szef jego również w nie zwyczajnym znajdował się stanie. Właściwa pułkownikowi zawsze ociężała nieruchomość drzemiącego w mule rzecznym hipopotama nie była dzisiaj tak absolutna, jak zwykle: przez spoczywające na krześle kolosalne ciało przebiegały czasami jakieś nerwowe drgawki, zaś twarz jego, którą zazwyczaj cechowało dobroduszne, nieruchome zatroskanie, wyrażała dziś ponadto lekki odcień niecierpliwości. Gdy komisarz skończył swoje sprawozdanie, niecierpliwość ta przerodziła się w rodzaj intensywnego zakłopotania. Pułkownik Nord wyraźnie miał coś do powiedzenia i nie wiedział, jaką temu „czemuś" nadać formę. Otworzył już był usta, położone pod gęstym, przystrzyżonym wąsem i zamknął je bez głosu, po chwili znowu je otworzył i tak pozostawił, dźwięku jednak nadal z siebie nie wydając.

Zaabsorbowany myślą o zielonym samochodzie komisarz Gromel, uderzony przydługą ciszą, podniósł wreszcie wzrok i po raz pierwszy ze zdziwieniem stwierdził niezwykły stan swego zwierzchnika. Pułkownik zawsze był bardzo powściągliwy, lecz dzisiejsza jego, nadnormalna już ekonomia słowa w połączeniu z jakimś nowym wyrazem twarzy świadczyła niewątpliwie o wewnętrznym wzburzeniu. — Napewno chodzi o bezprawną rewizję u radcy Pikrona, pomyślał komisarz i natychmiast zapomniał o wszystkich samochodach świata, jakby one w ogóle nigdy nie istniały. Widział przed sobą natomiast wyraźnie kompromitującą sprawę dyscyplinarną, która mogła zakończyć się zgoła niewesoło, może nawet czasowym zawieszeniem... Żyć, nie pracując w policji — takiej ewentualności komisarz nie mógł sobie wprost wyobrazić — to przecież w ogóle nie byłoby życie. Gromel zasępił się i zamarł wewnętrznie, gdy nagle wstrząsnął nim dźwięk jakby basowego klaksonu samochodowego. To głos pułkownika znalazł sobie wreszcie ujście na zewnątrz.

— Panie komisarzu, hum, hum, a hum... pułkownik chrząknął zajadle. — Tu właśnie — hum — właśnie... — tego — hum, hum — sprawa jest taka... Miałem dziś wiadomość z ministerstwa... hum... (oczywiście — ta bestia Pikron już zdążyła złożyć na mnie skargę — pomyślał rozpaczliwie Gromel)... z ministerstwa... hum... jego ekscelencja pan Minister życzy sobie... hum (komisarz zastygł i zamarł wewnętrznie) — pomówić z panem jutro o dziesiątej rano... w mojej obecności... hum, hum, a hum...!

Potężne chrząknięcie wstrząsnęło powietrzem. Pułkownik zamilkł, lecz ust nie zamykał, jakby jeszcze nie wszystko powiedział. Komisarz czekał, zacisnąwszy szczęki, jednak wobec przedłużającego się milczenia, zdecydował się na pytanie.

— Czy pan pułkownik nie wie, czego życzy sobie pan Minister? — zapytał ze sztucznym spokojem.

— Tak... hum... właściwie... częściowo... cierpiał dalej pułkownik. Chodzi o tę... hum, hum.. sprawę Galarda. Ta sprawa... hum... ma ważność ogólno państwową... Ten Galard znał jakieś tajemnice państwowe... hum... grożą konsekwencje... polityczne... hum, hum, a hum... Pan Minister obawia się... hum... że przeoczenia śledztwa... musimy skoordynować nasze działania... hum... policja polityczna ma tu coś do... hum... powiedzenia...

Komisarz Gromel zrozumiał wreszcie wszystko; a więc nie chodziło o sprawę Pikrona, lecz było niemal jeszcze gorzej: minister nie miał zaufania do Policji Śledczej, chciał skontrolować jej pracę i zapewne — podporządkować ją Wydziałowi Policji Politycznej.

Gromel był zasadniczo człowiekiem łagodnego serca i nieznane było mu uczucie nienawiści, nawet do zbrodniarza miał stosunek rzeczowy, najwyżej jak do tygrysa — należy go zabić, lecz nie należy nienawidzieć. Wyjątek z tej reguły stanowiła Policja Polityczna: jak wiadomo najostrzej zwalczają się zawsze ideologie czy instytucje pokrewne; komisarz nie znosił policji politycznej, gdyż jego zdaniem, stanowiła ona wykoszlawienie i zamącenie idei służby bezpieczeństwa, takiej, jaką on wyhodował w sobie: policja, jego zdaniem, winna służyć ludziom, chroniąc ich od lęku, grozy, zbrodni i chaosu. Tymczasem Policja Polityczna działała często w sposób mętny, niejasny, dwuznaczny i miast usuwać strach — sama go, przez własną nieudolność, rozpowszechniała. Komisarz Gromel brzydził się po trochu jej działalnością, to samo, wiedział, odczuwał pułkownik Nord; teraz zrozumiał jego zakłopotanie: nijako było pułkownikowi zawiadomić go, że mają być oddani pod komendę fuszerów i krętaczy z Wydziału Politycznego. A pułkownik, tak samo jak i komisarz kochał się w czystej, klasycznej robocie policyjnej! W dodatku — co najgorsze — nie mieli żadnych atutów, aby wyłożyć je przed Ministrem. Sprawa była nie rozwiązana, pozostała tajemnicza i ciemna w kompromitujący sposób: skoro nie umieli dotąd dać sobie rady, Minister przekaże rzecz Policji Politycznej i ze swojego punktu widzenia będzie miał rację — zwłaszcza, jeśli historia jest pilna. I w ten sposób on, komisarz Gromel, nie będzie nawet miał okazji czyszczenia swojej reputacji, tak nadszarpniętej przez zamordowanie Luizy Lore.

c. d. n.

Szeroki horyzont

Admirał Doorman

Nazwy współczesnych okrętów wojennych, aczkolwiek nadawane są w myśl ustalonej przez poszczególne admiralicje nomenklatury, trzymają się — jak gdyby na mocy porozumienia — utartego szablonu. Największe okręty — pancerniki, lotniskowce, czy krążowniki — noszą nazwiska wielkich wodzów czy mężów stanu, nazwy prowincji, stanów lub miast, wielkich, historycznych bitew i zwycięstw. Średnie jednostki i mniejsze— kontr-torpedowce, okręty podwodne i pomocnicze — nazywane są od zjawisk atmosferycznych, nazw gwiazdozbiorów, zwierząt drapieżnych, ptaków, nazw mitologicznych itp. Oczywiście, im dana flota więcej posiada kategorii okrętów i im liczniejsze są szeregi przedstawicieli różnych kategorii, tym trudniejsza jest praca ochrzczenia setek, nierzadko — jak we flocie Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii — tysięcy różnorakich okrętów. I tak np. admiralicja brytyjska oprócz wyżej wymienionych nazw posłużyć się musiała nie tylko dalszymi nazwami geograficznymi (rzeki), czy przyrodniczymi (kwiaty), ale zaczęła nadawać swym licznym kontr-torpedowcom nazwy podług kolejnych liter alfabetu, dając każdej nowej serii nazwy zaczynające się od następnej litery alfabetu W ten sposób np. jednostki serii „M" nazywały się „Marne", „Martin", „Matchtless", „Marksman", „Milne"; „Musketeer" i „Myrmidon" (późniejszy polski „Orkan").

Oczywiście, czym mniejsza jest flota i mniej posiada jednostek, tym mniejszy kłopot w nadawaniu nazw i mniejsza ich różnorodność. Każde jednak państwo morskie, wzgl. mające aspiracje być takim nazywane, uważa sobie za punkt honoru ochrzcić swe największe, najsilniejsze i najpiękniejsze okręty nazwiskami wybitnych ludzi morza: żeglarzy, admirałów czy korsarzy. Są to symbole przeważnie już do historii należącej świetności morskiej i udziału w walkach o opanowanie mórz, niemniej pozostają świadectwem, niezbicie stwierdzającym, że dane państwo ma swoje bogate tradycje i historię morskich poczynań, w odróżnieniu od innych państw, na morzu „nowobogackich". I tak pancerniki i krążowniki brytyjskie noszą znane nazwiska Nelsona, Rodneya, Hawkinsa, Frobisnera i Howe'a, francuskie — Jean Barta, Suffrena, Duquesne'a i La Gallissonière, holenderskie — de Ruytera, Witte de Witha, Troompa i Evertsena. W toku minionej wojny flota holenderska poniosła bardzo dotkliwe straty i większość jej jednostek wraz z najnowszym krążownikiem „de Ruyter" znalazła się na dnie. Gdy obecnie odradzająca się flota holenderska powiększyła się o zakupiony od Wielkiej Brytanii lotniskowiec „Nairana", można było przypuszczać, że ten największy holenderski okręt odziedziczy nazwę po zatopionym w lutym 1942 roku krążownik „de Ruyter", na pamiątkę jednego z największych, a może nawet największego na przestrzeni historii admirała na świecie. Najniespodziewaniej lotniskowiec „Nairana" przezwany został nazwiskiem współczesnego nam admirała, które — lubo daleko mu do blasku, jakim lśni nazwisko Michaela Adrianszoona de Ruytera — przecież zabłysło, jak meteor w okresie tragicznych dla aliantów pierwszych tygodni wojny na Pacyfiku i — równie szybko, jak tragicznie — zgasło. Admirał Karel Doorman, choć nie sprawdziło się na nim przysłowie „audaces fortuna adiuvat", pokazał jednak, że jest godnym spadkobiercą tradycji i ducha de Ruytera, Troompów (ojca i syna) i innych swych słynnych poprzedników.

Kiedy rozpoczęła się wojna na Dalekim Wschodzie, Holandia posiadała tam stosunkowo nieduże siły, przeznaczone do obrony swego Imperium Kolonialnego. Już w chwili wybuchu Drugiej Wojny Światowej stacjonowało w Indiach Holenderskich gros armii holenderskiej i prawie wszystkie na — i podwodne jednostki floty wojennej. Nie była to oczywiście siła zdolna samodzielnie obronić — na wpadek konfliktu zbrojnego — Indii Holenderskich, ale sił takich nie posiadały w Azji i na Pacyfiku także i inne mocarstwa kolonialne, jak W. Brytania czy Francja. Słabość militarną zastąpić jednak miały związki polityczne i dlatego już na długo przed niespodziewanym napadem Japończyków na Pearl Harbour skrystalizował się blok przeciwników kraju Wschodzącego Słońca. Sądząc po doborze partnerów mogło się wydawać, że blok A(merica) B(ritain) C(hina) D(utch India) okaże się wystarczająco silny nie tylko do ostatecznego pokonania Japonii, ale i do powstrzymania impetu jej pierwszego ataku.

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna od przewidywań. Pod ciosem bomb lotniczych i torped miniaturowych okrętów podwodnych Mikada legła w Pearl Harbour niemal cała amerykańska flota Pacyfiku skoncentrowana tam i w karygodnie niedbały sposób zabezpieczona przed wszelkimi w rachubę wchodzącymi możliwościami zaatakowania jej, zwłaszcza że jedyny ewentualny przeciwnik już w 1904 roku rozpoczął działania wojenne podstępnym atakiem w przeddzień wypowiedzenia wojny. W dwa dni po „katastrofie" w Pearl Harbour spoczęły na dnie wód malajskich pancerniki brytyjskie, stanowiące trzon brytyjskiej floty azjatyckiej, zatopione również w wyniku ataków japońskiego lotnictwa. Flota japońska przewiozła równocześnie i wysadziła desanty na półwyspie malajskim i archipelagu filipińskim. Miecz samurajów zawisł nad Indiami Holenderskimi.

W obliczu grożącego niebezpieczeństwa stworzyli alianci naczelne dowództwo południowo - zachodniego Pacyfiku z siedzibą w Surabaja na Jawie i powierzyli je wypróbowanemu w bojach w Afryce generałowi Archibaldowi Wavell'owi. Dowództwo alianckich sił zbrojnych objął admirał amerykański Hart. Na wodach południowo - zachodniego Pacyfiku, a zwłaszcza naokoło archipelagu Sunda, rozpoczyna się ożywiona działalność japońskiej i alianckiej floty i w zażartych bojach obie strony ponoszą dotkliwe straty. 2 japońskie kontr-torpedowce toną w drugiej połowie grudnia, 5 okrętów podwodnych zostaje zniszczonych w styczniu, trzeci kontr-torpedowiec ginie na początku lutego. Holenderskie jednostki nawodne, podwodne i lotnictwo niszczą w tym czasie kilkanaście transportowców i tankowców, płynących w konwojach na Borneo i Celebes. Również i alianci ponoszą straty, w tym Holendrzy 4 okręty podwodne (od wybuchu wojny). Dopiero jednak w połowie lutego dochodzi do pierwszego większego starcia sił nawodnych na wodach indonezyjskich.

W międzyczasie Japończycy zdobywają cały półwysep malajski i 15 lutego pada Singapoore. Trzy dni przed upadkiem tej najpotężniejszej bazy alianckiej na południowo - zachodnim Pacyfiku, admirał Hart rezygnuje z naczelnego dowództwa alianckich sił morskich w tym rejonie na rzecz wice - admirała Hellfricha z marynarki holenderskiej. Ten powierza dowództwo najsilniejszej, połączonej anglo - amerykańsko - australijsko - holenderskiej eskadry krążowników kontr - admirałowi Karelowi Doormanowi. W nocy na 15 lutego ma miejsce w Cieśninie Banak pierwsze starcie przednich straży alianckich i japońskich i tonie holenderski kontr-torpedowiec „van Ghent". Dwa dalsze spotkania lekkich sił mają miejsce w nocy na 21 i na 22 lutego w przesmyku Badoeng i Holendrzy ponownie tracą 1 kontr - torpedowiec („Piet Hein"), jednakże straty japońskie są dużo cięższe: 5 zatopionych transportowców i 2 uszkodzone kontr torpedowce. Mimo tego Japończycy lądują na wyspie Timor i na Bali 21 lutego, podczas gdy tydzień wstecz, inne oddziały wylądowały na Sumatrze. Jawa jest otoczona od zachodu, północy i wschodu i kiedy wywiad aliancki sygnalizuje odpłynięcie z portów południowego i wschodniego Borneo, silnej armady transportowej, składającej się z około 50 statków, eksportowanych przez zespół, obejmujący 14 krążowników, 11 lotniskowców wzgl. transportowców wodnosamolotów, 55 kontr-torpedowców i torpedowców, staje się dla wszystkich jasne, że celem inwazji jest Jawa, najważniejsza wyspa archipelagu, jego centrum polityczne i militarne.

25 lutego pod wieczór aliancka eskadra wypływa z Surabaja i patroluje wzdłuż północnych wybrzeży Jawy. Następnego dnia przed południem zaatakowana zostaje przez japońskie samoloty, jednakże atak jest bezowocny; podobnie jak i 27 lutego około 10 przed południem. Ponieważ nieprzyjaciela w dalszym ciągu nie widać, a załogi są zmęczone po 38-godzinnej służbie w stałej gotowości bojowej, głównodowodzący eskadry, admirał Doorman, nakazuje obranie powrotnego kursu do bazy. Po kilku dalszych godzinach, o 15,30 Doorman otrzymuje wiadomość radiową o obecności eskadry nieprzyjacielskiej w odległości 50 mil na północ od eskadry własnej. Wprawdzie niedokładny wywiad lotniczy donosi jedynie o zauważeniu małego zespołu, jednakże aliancki dowódca wie dobrze, jak silny musi być zespół przeznaczony do przeprowadzenia tak ważnego zadania, jak opanowanie Jawy. Zresztą, Doorman ma świeżo w pamięci treść poprzedniej wiadomości, podanej przez wywiad aliancki, i zdaje sobie sprawę z niewątpliwej przewagi nieprzyjaciela, który oprócz większej liczebności góruje także jakościowo nad skleconym ad hoc alianckim zespołem. Wreszcie napastnicy posiadają niewątpliwą przewagę w powietrzu, co jest także czynnikiem pierwszorzędnego znaczenia.

Doorman zdaje sobie sprawę z wszystkich pro i kontra i szybko sumuje w pamięci atuty, jakimi dysponuje nieprzyjaciel i te, które sam może rzucić na szale walki. Tych drugich jest niestety mniej niż mało. Eskadra aliancka jest słabsza ilościowo, jej okręty należą do różnorodnych typów i są — niestety — przeważnie dość powolne. dowódcy okrętów nie są zgrani ze sobą i — co najważniejsze — ze swym głównodowodzącym, któremu z kolei umiejętności, zalety i... wady załóg obcych narodowości znane są bardziej teoretycznie, niż ze współpracy bojowej, której dotąd prawie nie było. Co najgorsze — holenderski admirał wie, że stoi na straconej pozycji i że tych kilkanaście okrętów podległych jego dowództwu stanowi w danej chwili wszystko, czym dysponują alianci w tej części Pacyfiku, podczas gdy silna eskadra japońska czuje za sobą poparcie całej nienaruszonej potęgi morskiej, z wielkimi pancernikami, lotniskowcami, licznymi eskadrami krążowników, flotyllami kontr-torpedowców i okrętów podwodnych.

Może kto inny zawahałby się rzucać swój zespół do tak nierównej walki, Doorman nie tracił ani chwili na podjęcie jedynej — jego zdaniem — decyzji: walki. Zapewne kto inny wolałby się cofnąć, mając tak mało atutów w swym ręku. W historii ostatniej wojny morskiej znane są liczne wypadki, gdy dowódcy, i to nie zawsze dowódcy słabszego zespołu, zabrakło nie tylko szybkiej decyzji, ale przede wszystkim chęci do walki. Doorman należał do ludzi, którzy szukają wszędzie, gdzie tylko znaleźć ją można i myśl o ucieczce przed choćby dużo silniejszym nieprzyjacielem nie przyszła mu zapewne ani przez chwilę do głowy. Nie darmo był duchowym spadkobiercą czynów i tradycji de Ruytera, zwłaszcza że imię to nosił jego okręt flagowy, najnowszy lekki krążownik holenderski. Dlatego też decyzja Doormana jest godna decyzji de Ruytera, Troompów i innych słynnych admirałów holenderskich, którzy nieraz podejmowali walkę z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem i przeważnie wychodzili z niej zwycięsko.

Krótko po godzinie 16 nieprzyjacielskie eskadry nawiązują łączność wzrokową. — Wchodzą w kontakt bojowy z nieprzyjacielem — donosi Doorman swemu naczelnemu dowódcy, wice - admirałowi Hellfrichowi. — Rozpoczynamy akcję niszczenia nieprzyjacielskiej floty — wysyła swój pierwszy meldunek dowódca japoński.

W rzeczywistości początek walki wcale nie wróży aliantom tragicznego końca ich eskadry, która nadpływa szykiem liniowym z flagowym krążownikiem „de Ruyter" na czele. Za nim płyną krążowniki: brytyjski „Exter", amerykański „Houston", australijski „Perth" i holenderski „Java", wysuniętą szpicę przednią tworzą kontr - torpedowce brytyjskie „Electra" i „Jupiter", zabezpieczenie boczne dają 3 kontr - torpedowce holenderskie („Kortenaer", „Evertsen", „Witte de With") z jednej i 2 brytyjskie („Encounter" i „Stronghold") z drugiej strony, straż tylną stanowią 3 kontr - torpedowce amerykańskie („Edsall", „Pillsbury" i „Pope"). O godzinie 16,14 rozpoczęto ogień z odległości 23.000 m, która szybko się zmniejsza i spada do 18.000. Atak japońskich kontr - torpedowców zostaje odparty i jeden z nich ciężko uszkodzony artylerią krążownika „Perth". Nieco później trafiony jednak zostaje pociskiem „Exeter" i w dodatku tak nieszczęśliwie, że pocisk ten przebija pancerz i rozrywa się w kotłowni. Okręt traci na szybkości i pod eskortą kontr - torpedowców holenderskich odesłany zostaje do Surabaja; w międzyczasie storpedowany i zatopiony zostaje „Kortenaer". Wywiązuje się walka kontr - torpedowców, które kilkakrotnie przechodzą do ataku. Alianci są jednak słabsi liczebnie i tracą kolejno: „Electra", a już po zapadnięciu zmroku „Jupiter".

Krytycy postępowania i taktyki admirała Doormana, a takich po klęsce znajduje się — niczym grzybów po deszczu — bez liku, nie mogą mu darować, że nie wycofał swej eskadry po zapadnięciu zmroku. Czy mają rację? Post factum rzecz biorąc, niewątpliwie tak. Ale, pozostawienie pola bitwy oznaczało z góry zdanie się na łaskę i niełaskę Japończyków, którzy bez dalszej walki lądować mogli na Jawie, gdzie i jak chcieli. Zły to żołnierz i jeszcze gorszy wódz, który, a priori, wyrzeka się nadziei i możliwości zwycięstwa. Doorman nie wyrzekłby się ich nawet mając mniej szans, niż ich miał w bitwie nocnej na 28 marca. I trudno go potępić za to, że do końca starał się wypełnić powierzony mu rozkaz: przeszkodzić nieprzyjacielowi w wysadzeniu wojsk inwazyjnych na Jawie.

Dlatego też po zapadnięciu zmroku wytwarza się paradoksalna sytuacja, podobna nieśmiertelnej historii pościgu admirała Craddocka za eskadrą Grafa Spee, zakończonego klęską pierwszego w bitwie pod Coronelem w listopadzie 1914 roku. Admirał Doorman szuka dużo silniejszego nieprzyjaciela, znajduje go i nawet przejściowo zmusza do wycofania. Niestety los nie był łaskawy dla tego wspaniałego dowódcy. Po wycofaniu się nieprzyjaciela Doorman usiłuje okrążyć go i zajść od tyłu, przewiduje możliwość natrafienia na wiozący wojska inwazyjne konwój statków handlowych. Szybkość okrętów Doormana, i tak niższa od szybkości okrętów japońskich, w dodatku obniżona uszkodzeniami z popołudniowej bitwy, uniemożliwia eskadrze alianckiej wykonanie tego zadania, które przynieść mogło piękny i nieoczekiwany sukces. Doorman wykonuje wówczas zwrot na zachód i teraz następuje niespodziewany epilog Eskadra aliancka natyka się na kilka jednostek japońskich i rozpoczyna się walka artylerzyjska. Nieprzyjaciel rzuca torpedy. „De Ruyter" nagle zbacza z kursu, prawdopodobnie by uniknąć trafienia torpedą, jednakże podwodna eksplozja rozrywa jego kadłub i okręt szybko tonie około godziny 23,30. Chwilę później tonie drugi krążownik holenderski. Po dotkliwej stracie tych dwóch okrętów i niezastąpionej — dowódcy zespołu, eskadra idzie w rozsypkę i w ciągu następnego dnia i nocy pozostałe jednostki ulegają zniszczeniu.

Bitwa na Morzu Jawajskim zakończyła się całkowitym pogromem alianckiej eskadry, przy czym straty japończyków ograniczyły się do mniej lub więcej poważnie uszkodzonych okrętów. A jednak Holendrzy wynieśli Doormana na piedestał nieledwie bohatera narodowego, czego dowód dali nadaniem jego nazwiska swemu największemu okrętowi wojennemu. Czy można się temu dziwić? Czy tylko zwycięski dowódca, któremu w parze z cnotami wojennymi towarzyszył tak niezbędny lut szczęścia, zyskuje sławę i zasługuje na otoczenie pietyzmem jego imienia i przekazanie go potomności? Na pytanie to odpowiedzieli Holendrzy przykładem admirała Doormana: nie! I dowodem jak cenią sobie czyny i cnoty wojenne tego admirała jest i będzie holenderski lotniskowiec „Karel Doorman".

Jerzy Pertek.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W numerze 31 (88) tygodnika „Dziś i Jutro" z dn. 3 sierpnia br., zamieszczony był list p. Leonarda Kulczyckiego, w którym wspomina o ks. kapelanie ps. „Corda". Jak wynika z listu, p. Kulczycki posiada materiał mogący służyć do artykułu poświęconego pamięci ks. kapelana. Ponieważ znałem osobiście **ks. Wiktora Potrzebskiego** (tak brzmi jego właściwe nazwisko) w okresie przedpowstaniowym, pragnąłbym dorzucić trochę szczegółów o Jego osobie.

Ks. Wiktor Potrzebski używał w czasie okupacji nazwiska Orłowski Józef. Był kapelanem w Zgromadzeniu SS. Loretanek na Pradze, ul. Sierakowskiego (narożny dom przy ul. Sierakowskiego i Szerokiej). Tam też prowadził tajne komplety gimnazjalne i licealne. Ja byłem jego uczniem do roku 1943. Komplet nasz liczył 6 osób. Ks. Potrzebski był dla nas nie tylko pedagogiem, ale i opiekunem, do którego zwracaliśmy się we wszystkich ciężkich chwilach.

Pracę swą w tajnym nauczaniu traktował całkowicie honorowo i często okazywał pomoc materialną, potrzebującym kolegom.

Bliższe dane personalne ks. Potrzebskiego znalazłem w wydawnictwie z r. 1938 „Czy wiesz kto to jest" pod redakcją St. Łozy, wydanym przez Główną Księgarnię Wojskową w Warszawie. Niżej podaję wypis z tego wydawnictwa wraz z uzupełnieniem. Potrzebski Wiktor — ks. pedagog, ur. 30.8 1880 w Ślesinie. Syn Jana i Elżbiety z Sierakowskich. Ukończył gimnazjum w Kaliszu, a nast. seminarium duchowne we Włocławku (1904). W r. 1904 wstępuje do Nar. Zw. Robotn. w Kole. Pełni funkcję nacz. na 4 powiaty do r. 1907. Wydalony za swą działalność z granic państwa rosyjskiego, udaje się do Galicji, gdzie zaczyna pracować w Druż. Bartoszowych. w pow. buczackim, do r. 1914. W r. 1918 zostaje uwięziony przez Austriaków. Zwolniony z więzienia walczy w r. 1920 w obr. Lwowa. Z jego pracy społecznej wymienić też należy: prezesurę okr. Polskiej Macierzy Szkolnej (w latach 1905—1907) w Kole, założenie pierwszej w Polsce Spółdzielni Szewskiej w Kole (1905), prezesurę T. S. L. w Galicji 1909—1913.

Przed wojną 1939 r. ks. Potrzebski był dyrektorem Państwowego Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Grodnie. W czasie okupacji niemieckiej prowadził komplety tegoż gimnazjum, w Warszawie.

Ogłosił on też szereg prac z dziedziny spółdzielczości i wychowania. Odznaczony Krzyżem Niepodległości oraz Krzyżem Odrodzenia Polski 4-ej klasy.

Sz. Panie Redaktorze prosiłbym o przesłanie mego listu Panu Leonardowi Kulczyckiemu, aby mógł uzupełnić brakujące Mu dane do materiałów. Gdyby P. Kulczycki był łaskaw podać swój adres, chciałbym listownie lub osobiście prosić go o podanie znanych szczegółów o ostatnich chwilach śp. ks. Potrzebskiego. W chwili obecnej nie wiem nawet gdzie jest pochowany po ekshumacji, nasz nigdy nie zapomniany dyrektor.

T. M., Poznań

Redagują: Jan Dobraczyński i Bolesław Piasecki. Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 12, tel. 880-71. Konto P.K.O — Nr 1-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30 Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5. B-39693